

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 221.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 19 grudnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Książd biskup Jan Albertrandy (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Dawne ubiory i uzbrojenia, dalszy ciąg (drzeworyt).—Przyrząd do niszczenia szarańczy (z drzeworytem).—Król Węzów (podanie ludowe wołyńskie).—Drzewa podaniowe, dalszy ciąg (z drzeworytem).—Eureka, szkic szczęścia ziemskiego (dalszy ciąg).—Antoni Małcki (dokończenie).—Przegląd polityki zagranicznej.—Szachy.—Rebus.

Książd biskup Jan Albertrandy.

Trudno nie przyznać, że w czasie odradzania się nauk w Polsce w ostatnim stuleciu, Albertrandy nader ważne zajął stanowisko. Włoch z pochodzenia, urodził się w Warszawie 1734 r., a ojciec jego, który przybył do Polski i kraj ten obrał sobie za nową ojczyznę, starał się trzem synom swoim jak najstaranniejsze dać wychowanie, co skutecznie rozwinęło wrodzone im zdolności. Złąd też młodszy jego brat Antoni był nadwornym malarzem króla Stanisława Augusta i napisał dzieło o malarstwie i snycerstwie.

Jan początkowo nauki pobierał u jezuitów, którzy upatrując w nim bystrość dowcipu, niezmordowaną pilność i siłę pojęcia, która samych nawet nauczycieli jego zdumiewała, piętnastoletniego jeszcze młodzieńca skłonili do przyjęcia ślubów zgromadzenia; bo tuszili sobie, że wynikną z niego obfite dla nauk korzyści, a zaszczyty dla zakonu. Nie zawiedli się też w oczekiwaniach swoich, Albertrandy bowiem już w 19 roku życia o tyle był naukowo uzdatnionym, że otrzymał przeznaczenie na publicznego profesora w kolegium jezuitów w Pultusku, a później w Płocku, Nieświeżu i Wilnie, gdzie pomiędzy uczniami swymi liczył wielu wiekiem od siebie starszych. Z niewymowną łatwością wyuczył się języków, hebrajskiego, greckiego i łacińskiego i posiadał je w tym samym stopniu jak polski, francuski, włoski i niemiecki; niektórymi z nich pisał nawet poprawnie.

Niedługo jednakże cieszyli się nim jezuici, gdyż r. 1760 Józef Jędrzej Załuski biskup kijowski wezwał go na bibliotekarza swęj ogromnej, bo z około 300,000 tomów złożonej ksiąźnicy w Warszawie i do ułożenia jej katalogu. Albertrandy nie tylko godnie odpowiedział

temu wezwaniu, ale wydobyl nowe źródła, w tym skarbcu bibliograficznym dotąd ukryte. Po ukończeniu tej pracy, prymas Łubieński r. 1764 wezwał go do siebie i powierzył mu wychowanie wnuka swego Feliksa Łubieńskiego, późniejszego, za księztwa warszawskiego, ministra sprawiedliwości. Lecz od tego nowego zatrudnienia zbyt często był odrywany, gdyż prymas w czasie bezkrólewia po śmierci Augusta III, obarczony licznymi trudami i pracą, wyręczał się czę-

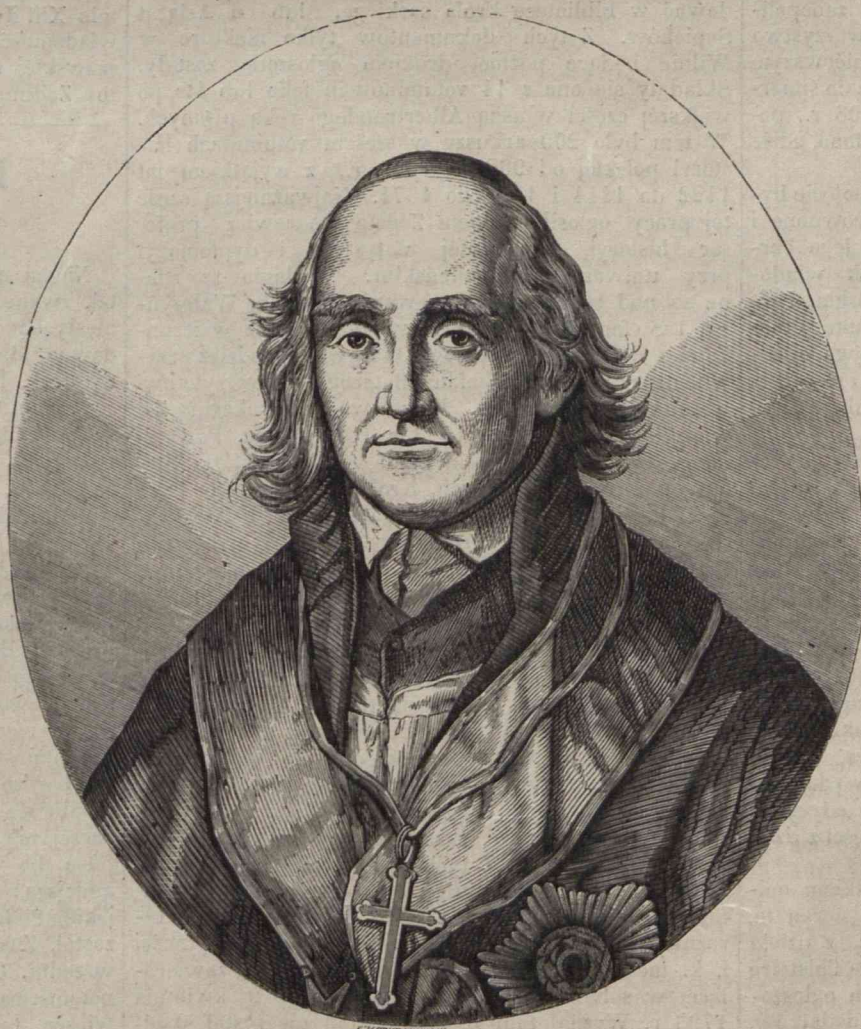
stał przy młodzieńcu dozorowi swemu powierzonym. Udał się z nim najprzód do konwiktów jezuitów w Warszawie, który zostawał wtedy pod zarządem uczonego Wyrwicza. Tam poświęcał się przez czas niejaki astronomii, a dla nauki ucznia swego napisał w skróceniu historią rzymską i polską. Gdy zaś opiekunowie młodzieńca umyśliли wysłać go na akademię do Sienny, towarzyszył mu i przeszedł z nim tamże kursa botaniki i mineralogii.

Czuając, że obowiązki zakonne utrudniają mu prace naukowe, zwierzył się z tego tamczemu rektorowi akademii nazwiskiem Possini i za jego pośrednictwem otrzymał od generała zakonu, księdza Ricci, pozwolenie przejścia do stanu kapłanów świeckich, chociaż pozostał zawsze wiernym swym pierwotnym ślubom.

Pobyt Albertrandego z swym wychowawcą we Włoszech, a osobiście w Rzymie, pośród tak licznych i szacownych zabytków, stanowił najważniejszą epokę w jego literackim zawodzie, najobfitsze żniwo dla jego naukowych wiadomości i sprawił że się oddał wyłącznie nauce starożytności. W tym celu odbywał odtąd podróże we Włoszech z swym wychowawcą i sporządził dla niego dokładny zbiór medalów greckich i rzymskich, który uporządkował i opisał. Jednocześnie dla nauki jego gromadził zbiory do historii naturalnej.

Zaledwo w r. 1773 powrócił do kraju, gdy Feliks Łubieński, który właśnie wtedy rozpoczął zawód swój polityczny i usługi krajowe, przedstawił go królowi; a kiedy r. 1775 Łubieński ofiarował monarsze zbiór starożytnych medalów we Włoszech zebrany, Stanisław August powierzył Albertrandemu jego dozór i zarazem mianował go swym lektorem. Poznawszy biegłość jego w literaturze i bibliografii, oddał mu także w zarząd swą bibliotekę i zbiór rycin. Kilka lat spędził na uporządkowaniu królewskiej biblioteki, mając do pomocy pełnych poświęcenia dla nauki: Prażmowskiego, Wolskiego i Gawrońskiego. Biblioteka ta początkowo składała się głównie z pisarzy starożytnych dzieł archeologicznych, dzieł przepychu,

sag islandzkich, historij i rycin. Gdy zaś Naruszewicz z natchnienia króla zaczął pisać historią narodu polskiego, a ksiąźnica królewska służyć miała



KSIAZD BISKUP JAN ALBERTRANDY.

sto Albertrandym i wzywał go do swęj rady, jako okazującego nadzwyczajną zdolność w sprawach publicznych i gabinetowych. Po zgonie prymasa pozostawał

ku pomocy piszącemu, wtenczas Albertrandy, jako bibliotekarz, starał się głównie we względzie historycznym pomnażać jej zbiory, a przytém kopiował rozmaite akta, pisma i dokumenta.

Jako gruntnie obeznany z przedmiotem, dostrzegł z łatwością czego jeszcze nie dostawało i gdzieby materiały do tego przedsięwzięcia szukać należało. Przedstawił to królowi, który natychmiast polecił mu udać się do Włoch, celem przejrzenia w bibliotece watykańskiej w Rzymie i w innych znaczniejszych bibliotekach lub archiwach, co by tylko z dziejami polskimi jakkolwiek związek mieć mogło. Trzy lata od r. 1782 poświęcił tej mozolnej pracy i własną ręką 100 tomów rozmaitych wypisów przygotował i z tak obfitym plonem, pomnożonym jeszcze wykopaliskami z Herkulanum i Pompei, wrócił do Warszawy.

Król, oceniając jego zasługi, obdarzył go medalem złotym z napisem „Merentibus“ i orderem św. Stanisława; gdy poprzednio już konstytucją sejmową z r. 1776 wyniesiony był do stanu szlacheckiego.

Wiedział Albertrandy, iż obfite materiały do dziejów polskich znajdować się musiały i w Szwecyi, dokąd, wśród kilkakrotnych wojen i najazdów, biblioteki i archiwa polskie w znacznej liczbie uwieszone zostały. Powtórnie więc wysłał go król do Upsali i Sztokholmu, gdzie znów w bibliotekach rządowych i archiwach prywatnych kilkadziesiąt voluminów własną wypisał ręką. Dodać przytém należy, iż nie mając w Szwecyi pozwolenia do robienia wypisów, spisywał z pamięci za swym do mieszkania powrotem, co w tych bibliotekach i archiwach przeczytał, gdyż pamięć miał nadzwyczajną. Jeżeli więc w Naruszewiczu widzimy słusznie pierwszego historyka dziejów narodowych, w pracach Albertrandego uznać musimy główne do tych dziejów źródło. Zarazem jako bibliotekarz królewski, nietylko uporządkował jego bibliotekę, ale nadto ułożył katalog jej krytyczny, to jest przy każdym dziele dodał jego treść i rozbiór. Dlatego też upoważnił go król do dowolnego używania tego księgozbioru, jak i biblioteki Żatuskich. Korzystając Albertrandy z upoważnienia, zatrzymał nieco książek dla siebie, wiele zaś rękopisów i kodeksów dla Naruszewicza zgromadzonych, jako też wypisy z bibliotek i archiwów włoskich i szwedzkich, oddał Tadeuszowi Czackiemu do Porycka. Katalog sporządzony przez Albertrandego, składający się z dziesięciu tomów in 4to, wraz z biblioteką królewską, dostał się staraniem Czackiego do wołyńskiego gimnazjum w Krzemieńcu.

Będąc już kanonikiem gnieźnieńskim i warszawskim, za rządu pruskiego został biskupem zenopolitańskim, a gdy w Warszawie zawiązano Towarzystwo przyjaciół nauk, Albertrandego wybrano pierwszym jego prezesem, który to urząd sprawował aż do śmierci, przez lat ośm. Umarł d. 10 sierpnia 1808 r., pochowany w kościele archikatedralnym św. Jana, gdzie też nagrobek jego się znajduje.

Posiadał on z natury rzadkie zdolności, pojęcie bystre i szybkie, pamięć i pracowitość niezrównane i dar wysłowienia się nader szczęśliwy. Dla jego bardzo rozległych w rozmaitych gałęziach nauk wiadomości, nazywano go powszechnie polihistorem. Próbował też sił we wszystkich prawie umiejętnościach, a przynajmniej nie były one dla niego obce; jednakże literatura klasyczna, historia i starożytności, jak widzieliśmy poprzednio, najulubieńszymi były dlań przedmiotami.

Przebiegłszy w krótkości jego życie, przystąpmy teraz do wyliczenia dzieł tego niespracowanego męża.

1. Dzieje Rzeczypospolitej rzymskiej, od założenia Rzymu, aż do cesarzów, z francuzkiego (P. Macquer) przełożona, z dodaniem obszernych przypisów, nietylko historią samą, ale też geografią dawną Rzymian, ich obyczaje, rzędy, obrządki, igrzyska, ofiary, urzędy i t. d. objaśniających. Warszawa, nakładem M. Gröla, 1768 r. in 8vo tomów dwa (str. 544 i 368.) Nowe wydanie poprawne i bardzo znacznie pomnożone, wyszło także w Warszawie, nakładem i drukiem Zawadzkiej wdowy 1806 r. in 8vo, tomów dwa (str. 617 i 598.) Dodatek do tego wydania o autorach klasycznych, rozmaitych dzieł ich edycjach i tłumaczeniach, wyjęty jest po większej części z dzieł Fabriciusa, Harlesa i innych.

2. Dzieje królestwa polskiego, lat porządkiem opisane, u Gröla 1766 r. in 8vo str. 366. Historią tę, bezimiennie wydaną, tłumaczył Albertrandy z dzieła Augusta Schmidta: Abrégé chronologique de l'histoire de Pologne, w Warszawie 1763 r. drukiem ogłoszonego. Z powodu jednak wielu popraw i dodatków, szczególnie zaś z powodu dołączonego panowania Augusta III, nie można tego dzieła nazwać prostém tylko tłumaczeniem, jak to sam tłumacz dodaje.

Obszerny rozbiór tych dzieł umieszczony był w Dzienniku Wileńskim z r. 1815. Także Lelewel zastanowił się nad owym przekładem dziejów pol-

skich, gdzie tłumaczowi zarzuca, przy zmianach tekstu pierwotnego, jakieś naciągania religijne i schlebienie jezuityzmowi.

3. Zabytki starożytności rzymskich w pieniądzach, pospolicie medalami zwanych, z czasów Rzeczypospolitej i szesnastu pierwszych cesarzów, ze zbioru s. p. Stanisława Augusta króla polskiego postrzeżone i krótkim wykładem objaśnione. W Warszawie u księży pijarów 1805—1808, tomów trzy in 8vo. (str. 422, 457 i 520.) Dzieło to poprzednio umieszczone było w tomach III, IV i V Roczników Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk i z nich osobno przedrukowane zostało.

Oprócz tego wiele pism Albertrandego znajduje się bezimiennie w Monitorze, dzienniku treści moralnej i satyrycznej, który od r. 1764 przez lat 20 wychodził w Warszawie, i w Zabawach przyjemnych i pożytecznych, wydawanych tamże od r. 1769 do 1777 najprzód przez Naruszewicza, później przez Albertrandego. Dalej w edycji dzieł poetyckich Sarbiewskiego, wydanej w Warszawie 1769 r. przez Franciszka Bohomolca, znajduje się kilka pieśni tegoż Sarbiewskiego, przełożonych z łacińskiego na wiersz polski przez Albertrandego, gdy jeszcze był jezuitą. Nakoniec w Rocznikach warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk wiele jest rozpraw i mów, czytanych na posiedzeniach publicznych Towarzystwa przez Albertrandego. Wspomniemy tu rozprawę o muzach, drukowaną w pierwszym tomie Roczników, a oddrukowaną oddzielnie w Warszawie 1804 r. Przełożoną zaś została przez samego autora na język łaciński i wydaną w Warszawie w drukarni księży pijarów 1804 r. str. 40. Rozprawa o słońcu, jako bożku pogańskim, znajduje się w VII tomie Roczników.

4. Zbiór wiadomości gospodarskich, szacowne pismo ekonomiczne, w Warszawie w drukarni jezuitów, r. 1770, w jednym tomie wydane, od wielu Wyrwiczowi przyznawane, ma być także pracą Albertrandego.

We wszystkich jego pismach polszczyzna jest dobra lecz twarda, styl czysty i pełny, co do okrągłości peryodów do Liwiuszowego podobny.

Lecz dzieła powyższe, drukiem za życia autora ogłoszone, nader małą stanowią część pracy, w porównaniu z ogromną liczbą rękopisów po jego śmierci pozostałych, których część w r. 1810 dostała się do uniwersytetu wileńskiego jako dar, oraz w drodze kupna od męża synowicy jego, pólkownika Laskarysa. Część zaś druga tych rękopisów ma się znajdować w bibliotece króla saskiego, lub u książąt Sapiehów. Z tych dokumentów tylko niektóre w Wilnie będące później drukiem ogłoszone zostały. Składały się one z 14 voluminów in folio lub 4to, po większej części własną Albertrandego ręką pisanych. W tém było 200 arkuszy w sześciu voluminach Historii polskiej od 962 do 1595 r., z wyjątkiem lat 1422 do 1444 i 1506 do 1574. Najważniejszą część tej pracy ogłosił drukiem Żegota Onacewicz, profesor historii, a później statystyki i dyplomacji przy uniwersytecie wileńskim. Wydania te znane są pod tytułem: 1) Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego królów polskich, z wizerunkami i dodaniem przypisów Onacewicza, tudzież przywilejów przez króla Stefana Batorego uniwersytetowi wileńskiemu nadanych. Warszawa w drukarni Zawadzkiej i Węckiego 1823 r., tomów dwa. Powtórna edycja, z dołączeniem pamiętników historii Stefana Batorego dotyczących, Kraków u Czecha 1849 r. 2) Panowanie Kazimierza, Jana Alberta i Aleksandra Jagiellończyków królów polskich. Warszawa u Brzeziny 1826, tomów 2. Na początku umieszczony jest króciuchny rys dziejów litewskich, przez Onacewicza skrócony. Edw. Raczyński wydał zaś: Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagielly króla polskiego, w Wrocławiu u Schlettera 1845 r.

Do dalszych prac rękopiśmiennych Albertrandego, które się znajdowały w Wilnie, należy: Iter italicum et sueticum (55 arkuszy); zawiera spis materiałów do dziejów polskich, znajdujących się w licznych bibliotekach rzymskich i szwedzkich. Listów Hozyusza i Kromera, biskupów warmińskich, w Szwecyi wypisanych, 53 arkusze. Z tych niektóre Szymon Żukowski, profesor uniwersytetu wileńskiego, ogłosił w Dzienniku wileńskim r. 1815 i 1816. Raport o stanie terazniejszym gabinetu medalów i innych starożytności j. k. mości. Raport o bibliotece królewskiej, zawierający w sobie 16,500 tomów, podpisany 9 kwietnia 1793 r. Wyznał tam że katalog ten nie został skończony, gdyż przez dwa lata i pięć miesięcy nie można tego dokonać, co się przez lat 26 nie stało, a sporządzenie takiego dokładnego i systematycznego katalogu, przy największej pilności, kilkunastu lat czasu potrzebuje. Mówi zaś dalej, co zarazem dowodzi niezmordowanej jego pracowitości, że przez lat dwa

i pięć miesięcy, ani dnia jednego, nawet w największe święta, w dziele tém nie odpoczął, pracując najczęściej po 13 godzin codziennie, nigdy zaś mniej jak 8 lub 10.

Dalej następuje opisanie medalów do historii polskiej należących, z lat 1548 do 1764, na 153 stronach in folio, w języku francuzkim. Objaśnienia tych medalów zawierają ważne i ciekawe materiały, tak do historii polskiej trzech ostatnich wieków, jak i biograficzne wiadomości o sławnych Polakach. Raczyński w przedmowie do dzieła swego: O medalach polskich, mówi o tej pracy Albertrandego, iż nie obejmuje wprawdzie ani połowy medalów dziś (1838 r.) znanych, zaleca się jednak wielką erudycją i znajomością rzeczy.

Aby dopełnić ten ogromny zbiór rękopisów po nim pozostałych, wymienić musimy ważne wypisy z bibliotek rzymskich, zawierające materiały do dziejów polskich i korespondencje nuncyuszów papieżkich. Z tych w latach 1847 i 1851 w dwóch tomach wyszły: Pamiętniki o dawniej Polsce z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy J. Fr. Commendoniego do Karola Boromeusza, zebrane przez Albertrandego z biblioteki barberińskiej, z rękopisów włoskich i łacińskich wytłumaczył Józef Krzeczkowski; wyd. w Wilnie.—Summaryusz pism oryginalnych różnych dworów do króla Stanisława Augusta i traktatów z nimi zawartych.—Wiadomość o portretach polskich znajdujących się u hrabiego Brahe w Skogkloster w Uplandy, sześć mil od Sztokholmu.—O rękopisach w Lesznie w Wielkopolsce, wyświecających dzieje protestantów w Polsce.—Listy oryginalne króla Stanisława Augusta do Naruszewicza i tegoż do króla.—Listy znakomych osób za panowania tegoż króla.—Uwagi nad edukacją krajową.—Wreszcie katechizm, który wydrukowany został w Wilnie nakładem T. Glücksberga 1830 r. pod tytułem: Katechizm mniejszy i większy, dzieło pośmiertne Albertrandego.—Nadto wydane jeszcze zostały w Warszawie 1858 r. kazania jego i nauki z rękopisów pośmiertnych.

Czacki w dziele swém o Dziesięcinach, str. 20, wydanie trzecie 1802 r. i w spisie dzieł przez siebie użytych, a za nim Wiszniewski w Historii literatury polskiej, tom I str. 93, wspominają, iż Albertrandy napisał jeszcze Historią kapituły warszawskiej.

Pochwałę pośmiertną tego zasłużonego męża odczytał wychowawiec jego, Feliks hr. Łubieński, na posiedzeniu Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk, d. 22 lipca 1809 r., którą umieszczono w tomie XIII Roczników tegoż Towarzystwa. Obszerna zaś wiadomość o życiu jego znajduje się w Gazecie Warszawskiej z r. 1808 i w Haskiej Allgemeine Literatur Zeitung r. 1809 Nr. 44.

Kronika tygodniowa.

Niema może narodu równie bogatego jak nasz w tak zwane kantyczki czyli pieśni kołędowe. Istnieje ich niesłychane mnóstwo, nuta do nich dawna, bardzo dawna, ale dla każdego rodaka ma ona niewysłowny urok. Podróżnik jeden rozповідаł mi:

...Tam tedy, (było to w pewnej wiosce hiszpańskiej) czekało mnie najniespodziewane spotkanie. Oberżysta, przekonawszy się z paszportu o mojej narodowości, rzekł do mnie z uśmiechem, że żyje tu współrodak mój, który przybywszy z Francji z wielką armią Napoleońską, zostawiony został za zabitego na polu bitwy. Był on jednak tylko ciężko ranny. Jakies pocziwe dusze, ujęte litością nad cudzoziemcem, (rzecz bardzo rzadka w tym kraju podówczas), przysły doń z pomocą i lekami. Wpręde dowiedział się że to nie Francuz, tylko Polak i że ten Polak jest prawowiernym katolikiem. *Vivat Polonus defensor Mariae*, jak mówi Mickiewicz. Więc przygarnięto go, umieszczono i wspomóżono. Musiał się leczyć długo, bardzo długo, bo rany były ciężkie, a po wyleczeniu się nie miał już ochoty wrócić do armii, albo raczej nie wiedział gdzie szukać swojego pułku i korpusu, bo wówczas los wojny szybko przenosił wojska z miejsca na miejsce. A przytém..... a przytém piękne oczy jakieś Pedrilli czy Juanity zawróciły mu w głowie. Dość że został. Znalazł tam opiekę, pomieszczenie i chleb powszedni. Ożenił się z Juanitą, doczekał się liczego potomstwa i zaaklimatyzował się zupełnie w owej wiosce, tak iż zapomnianio prawie że jest cudzoziemcem; on sam nawet, zdawało się, zapomniał o tém. Pozostało mu jednak przehiszpaniczone nazwisko polskie i owa tradycja dawnego żołnierza, o której się nigdy nie zapomina.

— Jeżeli pan życzy sobie z nim się widzieć, rzekł oberżysta, to każe mu dać znać. On chętnie

tu przyjdzie, bo chociaż teraz uważa się już prawie za Hiszpana rodowitego, to wszakże czasem, gdy przyjdzie na niego chwila rozczerzenia, z miłością i zalem wspomina o rodakach i kraju, i bardzo jest uszczęśliwiony, jeżeli się z tych dalekich stron może czegoś dowiedzieć. Nigdyby mi nie darował, gdyby się dowiedział że przejeżdżał tędy hiszpański (naturalnie mój przyjaciel był hiszpańcem, ponieważ, jak każdy zwykły Polak podróżujący, płacił bez wielkiego targu), a ja mu nie dałem znać o tym.

— Lepiej nie fatygować staruszka, ja sam pójdę do niego, rzekłem do oberżysty; chciałem mnie pan tylko kazać doprowadzić do jego mieszkania.

I pod przewodnictwem odartego, z bosemi nogami i gołą głową chłopaka, który pełnił w oberży zaszczytne obowiązki pomocnika gallegi, to jest stróża, udałem się na wieś, odległą o jakie parę tysięcy kroków od oberży.

Zaledwie jednak przeszliśmy połowę tej przestrzeni, kiedy ujrzelismy idącego naprzeciwko siebie zgarbnego i opartego na kij staruszka, który podążał szybko, o ile na to ciężar osmdziesięciu lat już dobrze ukończonych dozwalał.

Był to właśnie stary K...i, który, dowiedziawszy się nie wiem kąd o moim przybyciu do oberży, wybrał się natychmiast z domu, żeby powitać współziomka.

Miał on na sobie zwykły ubiór włościan galicyjskich, ale nie z podtatrzańskiej, tylko z zapyrenejskiej Galicji; wielki, o szerokich skrzydłach kapelusza słomiany nakrywał mu głowę.

Kiedy przybliżyliśmy się ku sobie, otworzył ramiona i nie mówiąc słowa, zaczął mnie ścisnąć i całować, jak gdyby spotykał syna po długim niewidzeniu się.

Przemówiłem do niego kilka słów po polsku.

Na wielkie moje zdziwienie stary silił się odpowiedzieć mi, ale widocznie nie szło mu jakoś. Wyrazy łamały się, niepodobna mu było związać ich z sobą. Silił się długo na wyrzeczenie zrozumiałego frazesu, nareszcie machnął z gniewem ręką i odpowiedział po hiszpańsku, dodając z pewnym rodzajem wstydu, że ponieważ od lat pięćdziesięciu nie miał sposobności używania polskiego języka, wyrazy więc zatykały mu się w gardle i nie mogą w zrozumiałą dźwięk się wylać, że rozumie wszystko, ale odpowiedzieć nie może.

Poszliśmy do oberży.

W drodze próbowałem ciągle przypomnieć mu ojczysty język. Ale staruszek próżne tylko robił usiłowania i odpowiadał wyrazami polskimi wprawdzie, lecz w najdziwniejszy sposób łamanymi, tak iż trzeba było z wielką usilnością sensu każdego zdania domyślać. A podczas tych daremnych wysiłków mu się w oczach; widziałem jaką przykrość sprawia mu ta jego niemożność odzywania się ojczystym językiem, sam więc prosiłem go żeby mówił do mnie po hiszpańsku, a ja mu odpowiadałem po polsku. Rozmawialiśmy długo, długo; staruszek ciekawie wypyttywał się o wszystko co tylko dotyczyło jego kraju rodzinnego, w tym bowiem zakątku nigdy nie dochodziły go nowości ze stron tak dalekich.

— A czy czczą tam Pana Boga jak za moich czasów? Wypytywałem mi się z niespokojnością, czy wiara i pobożność żyją w ludzie?

I tu dopiero, wpadłszy na trop wspomnień swojej młodości, począł się nad nimi rozwodzić.

— Tu mi dobrze, mówił, uczciwi i przyjacielecy ludzie i pobożni także, o... i wielce pobożni; ale są chwile, w których nawet pomiędzy najbliższą rodziną i przyjaciółmi czuję się jakby osamotniony, brak mi czegoś widocznie, a może to coś, czego mi nie dostaje, to wiatr naszych pól, to dźwięk naszej mowy, to echo piosenki dalekiej. Wypadnie naprzykład jaka wielka religijna uroczystość w roku, ot dajmy na to Boże Narodzenie, które już się zbliża. Dni te obchodzone tu są także bardzo uroczyste, ale jakże odmiennie niż u nas! Ani wigilii jak w Polsce, ani kolędów świątecznych, ani kolęd naszych. Oj te kolędy! Daremnie próbowałem nauczyć ich dzieci moje i wnuki: gdzie tam, trzeba na to rodowitego Polaka, żeby dobrze zapamiętać nutę i wyrazy.

— Albo je pamiętasz? zapytałem z zadziwieniem, bo widząc że zapominał zupełnie ojczystego języka, uważałem za nieprawdopodobne żeby narodowe nasze pieśni zostały mu w pamięci.

— A jakże panie, jakżeby nie pamiętać tego? Przecież ja co rok muszę je sobie odśpiewać wszystkie, inaczej święta nie byłyby dla mnie świętami.

I powiedziawszy to, zaintonował z całą siłą, na jaką starczyć mógł złamany i drżący głos jego, znaną naszą pieśń kolędową:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu,
Jezusowi
Chrystusowi
Dzisiaj narodzonemu. i t. d.

I dziwna rzecz, w pieśni tej wszystkie wyrazy wolne były od wszelkiego cudzoziemskiego akcentu, wymawiane dobitnie, jasno, zrozumiale. Zdawało się że śpiewający ani na chwilę nie opuścił gleby rodzinnej i że te pół wieku jakie przeżył w obcym kraju, stało się jednym nic nieznaczącym mgnieniem oka. A kiedy śpiewał, twarz jego promieniała dziwnym jakimś weselem, znać w niej było rozradowanie dawno może obce tym rysom, a pochodziło to zapewne z tego, że miał przed sobą słuchacza, co czuł i rozumiał wyrazy pieśni ludu tak dla niego drogiej. Kiedy zaś skończył pieśń całą, bez opuszczenia choćby jednej wrotki, bez przekręcenia choćby jednego wyrazu, bez wydania choćby jednego niewłaściwego dźwięku w nucie kanticzkowej, twarz jego posmutniała nagle, lzy zabłysły mu w oczach i spuścił głowę na piersi.

Chciał przemówić coś po polsku, ale znów tylko hiszpańskie wyrazy przychodziły mu na usta; wybełkotał kilka dźwięków niezrozumiałych, a widząc daremność usiłowań swoich, rozplakał się jak dziecko i nie chciał już nic dalej mówić.

Z rozrzwinięciem pożegnałem staruszka, zostawiwszy mu na pamiątkę obrazek Najświętszej Maryi Częstochowskiej, który przypadkiem wiozłem z sobą. Był to dla niego nieoszacowany dar i dziękując zań zapewnił mnie, że po swojej śmierci przekaże go w spadku wnukom i prawnukom, jako najdroższą rodzinną pamiątkę.

Rzadko już obecnie spotkać gdzie można owe stare książki kanticzkowe w skórze oprawne, z klamrami przeróżnego formatu, które dawniej stanowiły konieczny sprzęt domowy naszej drobnej szlachty, mieszczan i włościan, jeżeli który z tych ostatnich, co się rzadko zdarzało, czytać umiał. Ale co mówię, widziałem sam w młodości mojej takich, co znali zaledwie litery, co w zwykłych okolicznościach bez długiego syllabizowania nie przeczytaliby ani jednego wyrazu, a w książeczkach jednak kanticzkowych czytali biegle. Pamięć tu wspomagała umiejętność i nawzajem. Dzisiaj wychodzą nowe wydania tych książeczek, poprawne niby, chociaż w kształcie zewnętrznym naśladują tamte. Ale dla nas te wszystkie poprawki i przekształcenia brzmią jakoś dziwnie nieprzyjemnie. Przyzwyczailiśmy się bowiem do tych śpiewów prostych i serdecznych, do tej nuty która kołysała pierwsze lata dzieciństwa naszego, i żadne ulepszenia zastąpićby nam ich nie mogły. Nawet szopkarze zaczynają już nowotne jakieś śpiewy wymyślać, trochę z teatru, trochę ztąd i zowąd pozbiierane, a niefortunne są te ich pokuszenia, bo wolelibyśmy dawną serdeczną nutę.

Zresztą niech się śmieje z nas kto chce, ale my wierzymy w gwiazdy przewodnie, które prostują przed nami drogę. Bo jakże tużim nie wierzyć, kiedy istnieją one wyraźnie dla społeczeństw, dla rodzin, dla ludzi pojedynczych?

Dlaczegoż są tacy, którym pomimo największych usiłowań wszystko się łamie pod ręką, a istnieją znowu inni, którzy bez żadnego wysilenia, bez żadnej może zasługi z ich strony, stają z łatwością u kresu swoich życzeń? Spójrzcie tylko w około siebie, a mnóstwo tego napotkacie przykładów. Jednemu sztyła gołą, drugiemu i brzytwy nie chcą, mówi polskie przysłowie. A drugie, dobitniejsze jeszcze, wyraża, że więcej wart łut szczęścia, aniżeli centnar rozumu. Owóż was czytelnicy, którzy wierzyacie w tę mistyczną władzę gwiazdy waszej przewodniej, chęć tu nauczyć pewnej tajemnicy, którą przed laty powierzyła mi moja piastunka. Skorzystacie z niej, jeżeli będziecie chcieli.

Kobięcina owa mówiła mi, że pierwsza gwiazdka która się ukazuje na niebie w wigilię Bożego Narodzenia, jest tą samą co prowadziła Trzech Króli do żłobu w którym Zbawiciel świata leżał, a zatem jako królowa i przewodczyni wszystkich innych gwiazd, ma przeważny wpływ na kierunek losów.

Dlatego właśnie pierwsze pojawienie się tej gwiazdki uświęca się uczcą rodzinną, ażeby potem niezmiennie obfotić kwitła w domu; dlatego przed uczcą łamieny się opłatkiem, ażeby uświęcić ogólną wspólność darów Bożych i wykazać że każdy z dostatku swojego udzielać powinien bliźniemu, którego skąpieć nieba obdarzyły. Zanim jednak gwiazdka się pojawi, zanim rodzina zasiądzie do zastawionej na sianie wieczerzy, potrzeba ażeby każdy czuł się czystym na sercu i duszy, w swoich myślach i czynach, w życze-

niach swoich i pragnieniach. O to właśnie najtrudniej. Jeżeli tak jest jednakże, a gwiazdka przyjaznym zaświeci promieniem, w takim razie powodzenie na cały rok zapewnione, bo Pan Bóg wysłucha prośb w ten dzień wesela do niego wznoszonych, jeżeli czyście usta je szeptaają.

Nie wiem co o tej teorii powiedzą panowie astronomowie; mniejsza o to która podług ich wywodów gwiazda czy planeta okazuje się pierwsza na horyzoncie wieczorem w wigilię Bożego Narodzenia; ale to pewna, że w tej wierze naszego prostego ludu jest coś dziwnie pociągającego, jakiś niczem niezachwiana ufność w opiece Bożej, którą te serca proste i kochające we wszystkiemu widomie upatrują. Wierząc mi że modły z czystych serc do tronu Boga wznoszone, nie mogą być bezskutecznymi. Gwiazdka je przesła na promieniu swoim i łaskawszym zaświeci blaskiem.

Proszono nas o zamieszczenie w kronice następującego żądania.

„Studenti tutejszej szkoły głównej żadnej pomocy naukowej z biblioteki głównej mieć nie mogą, raz dlatego, że otwartą jest jedynie od 8ej z rana do 2ej po południu, t. j. w godzinach prelekcji, powtóre, że biblioteka, niezasilana dziełami nowoczesnymi, traci zupełnie wartość dla tych studentów, którzy np. w naukach ścisłych pracując, muszą się koniecznie na nowożytnych autorach kształcić. Wielu zatem z kolegów moich (gdyż sam jestem studentem wydziału matematyczno-fizycznego) objawiało w potocznej rozmowie zadziwienie, dlaczego do tej pory nie założył który z pp. księgarzy warszawskich czytelnik dzieł naukowych. Czytelnia taka mogłaby przynieść znaczny dochód, gdyż każdy student zapłaciłby chętnie złp. 6 gr. 20 miesięcznie, byleby tylko mógł mieć taką dogodność. Co do zastawu, takowy, jeżeliby pp. księgarze pojęli cel przedsięwzięcia i przyprowadzili je do skutku, mógłby być zastąpiony poleceniem któregoś z profesorów“.

Nie pierwszy to już raz pomysł założenia czytelnicy publicznej ukazuje się w szpaltach naszego nawet pisma. Warszawa jest może jedyną z wielkich miast europejskich, gdzie taki brak daje się uczuć. Ale nad temi czytelniami cięży los jakiś nieszczęśliwy. Wszakże księgarz Lewicki próbował już ten pomysł przeprowadzić do skutku, i to w daleko przychylniejszych, jak się zdawało, warunkach; więcej bowiem osób pragnie się bawić niż uczyć, a on właśnie ogłosił czytelnię więcej literacką niż naukową. Zakład jednak, którego dogodność i pożytek nie ulegały wątpliwości, nie mógł się utrzymać, z powodu małej bardzo liczby osób uczęszczających do czytelnicy, i właściciel zmuszony był zwinąć ją, czekając na większe zamilowanie publiczności w czytaniu. Była to jedna tylko wprawdzie próba, ale bardzo wymowna. Kiedyś na Trebickiej ulicy istniała znana kawiarnia, w której wszelkiego rodzaju książek, tak zabawnych jak i poważnej treści, dostać można było. Stała ona czytaniem i napojem. Kawa podpięrała się biblioteką, a biblioteka kawą. Właściciel niewiele wprawdzie myślał o kompletowaniu czytelnicy, ale, w braku lepszej, i ta była dobrą. Zdaje mi się jednak że bez kawy, szachów i t. d. nie utrzymałaby się ona; biblioteka stanowiła tam dodatek do kawiarni, jak domino albo puf.

Założenie czytelnicy dzieł poważnych, w dzisiejszych zwłaszcza czasach, znalazłoby wiele trudności. Koszt niemały, bo u nas nietylko czytelnicy, ale i książek w zupełnym doborze niema prawie.

Dzisiaj zaś pp. księgarze, może i bez słuszności, stali się nader trwożliwymi na wszelkiego rodzaju przedsięwzięcia. Gdyby więc który z nich pomyślał o założeniu czytelnicy, nie ograniczyłby się na samych książkach naukowych, rachując więcej na ogół, aniżeli na ludzi specjalnych.

Trzeba jednak pamiętać, że czytelnia taka nie mogłaby być prostym abonamentem, (jakich istnieje już kilka u nas) na powieści polskie, francuskie i niemieckie, ale musiałaby zarazem posiadać i lokal stosowny dla tych, którzy pragną notować na miejscu i nie chcą dzieł brać do domu.

Sądę więc że jeżeli, jak korespondent twierdzi, rzeczywiście wielu studentów jest tegoż samego co on zdania, to ktoś umocowany od ogółu, mógłby się rozmyślić w tej mierze z jednym z księgarzy tutejszych i przedstawić mu cały stan rzeczy. Księgarz, wyrachowawszy przypuszczalne pokrycie kosztów, niewątpliwie zgodziłby się na założenie czytelnicy. Clara pacta w takim razie najlepszą są drogą, i zapewniwszy księgarzowi pewien stały dochód z owych opłat miesięcznych, możnaby z łatwością cel osiągnąć. Powtarzam zaś, że właściwa czytelnia (gabinet czytania) dlatego lepszą jest od prenumeraty, że dogadza i tym

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

(Dalszy ciąg).



Nr. 99.

Wiek XVI. Czeladnik rzemieślniczy na wędrowce.
(Rysunek wzięty ze Zwierciadła Reja). (D. c. n.)

którzy potrzebują książek do domu, i tym którzy pragną tylko przejrzeć to lub owo miejsce i porobić notatki. Tym sposobem nietylko już z panów studentów księgarz mógłby ciągnąć korzyść. Gdyby jednak na założenie właściwej czytelnicy nie starczyło funduszy, możnaby założyć abonament wyłącznie dzieł naukowych, co, zdaje się, było nawet pierwotną myślą korespondenta. W ostatnim zaś razie możnaby się obyć bez księgarza, przykłady bowiem uczą, że w wielu uniwersytetach wspólnymi siłami, przy niewielkich stosunkowo składkach peryodycznych, powstawały piękne bardzo czytelnice.

Przy nadchodzącej porze obfitego rozkupu książek na gwiazdkę, należy nam wspomnieć o dziele świeżo wyszłym nakładem pp. Gebetnera i Wolfa. Jest to przekład z francuskiego na polskie książki która we Francji doczekała się kilkunastu wydań. Tytuł jej: *Historia kęsa chleba* przez pana Macé. Stanowi ona część wydań popularno-naukowych, które od pewnego czasu w Paryżu niezmierną mają wziętość. I po prawdzie zasługują na to, łączą bowiem, co rzecz rzadka, naukę z zajęciem, czytają się jak powieść, a z każdą przeczytaną stroną umysł nietylko dzieci, ale i dorosłych osób, które zechcą się zabrać do tych czytań, wzbogaca się nowymi i użytecznymi wiadomościami. Czytelnik sam nie wie, doszedłszy do końca dzieła, ile zyskał na ukształceniu w najmniej nawet dostępnych przedmiotach. Owa naprzykład *Historia kęsa chleba* tłumaczy nam cały nasz ustrój wewnętrzny; jest to o ile tylko może być przystępny i zajmujący kurs fizjologii, który każde dziecko chętnie przeczyta i zapamięta, znajdując tam wszystko zastosowane do swojego pojęcia. Od zębów aż do serca, od przetwarzania się pokarmów aż do krążenia krwi, wszystko się tam mieści. Słyszeliśmy że nakładcy mają zamiar dalej prowadzić szereg tych wydań popularnych i przyswoić je wszystkim z kolei, a przynajmniej najcenniejsze z nich, językowi naszemu. Byłoby to bardzo użytecznym i pożądanym.

Od p. Mściława Kamińskiego z Wilna otrzymaliśmy następujące zawiadomienie, z prośbą o wydrukowanie.

Ponieważ doszło do mojej wiadomości, że niektóre osoby przypisują mi autorstwo artykułu o kościele misyjnym w Wilnie, umieszczonego w Nr. 157 Tygodnika Ilustrowanego, przeto widzę się zmuszonym zawiadomić publicznie, że o tym kościele nie pisałem nigdy, i że odpowiadam tylko za artykuły opatrzone monogramem M. K., lub całym podpisem moim: *Mściław Kamiński*, albo wreszcie *Mściław K.*, gdy tymczasem opis wyżej powołany podpisany jest: *B.....cz.*

Przyrząd do niszczenia szarańczy, pomysłu J. A. Sztafela w Warszawie.

Wszelkie dotąd używane sposoby ochronienia pól od szarańczy, polegają albo na odstraszaniu jej od okolicy pewnej w czasie przelotu, albo na zapobieganiu wykształceniu się szarańczy z zarodków, w miejscach gdzie poprzednio przebywała. Pierwsze z tych sposobów, jako to: strzelanie, dzwonienie i t. p., mało są skuteczne; drugie zaś, do których się odnosi: radlenie, przesypywanie gruntu wapnem, gniecenie ciężkimi wałkami, a wreszcie skrzętne wyszukiwanie i wybijanie odręczne, lubo więcej odpowiadają

celowi, są wszakże mozolne, kosztowne i zależne od wielu miejscowych okoliczności.

Aby pracę wyniszczenia zarodków ile możności ułatwić i skuteczniejszą uczynić, p. J. A. Sztafel, znany z wielu pomysłów mechanik tutejszy, na zamieszczoną w tutejszych pismach odezwę S. B. z Podola, a ze względu na uwagi fachowe p. Benedykta Aleksandrowicza, obmyślił w roku bieżącym bar-

dzo prosty przyrząd przenośny, którego zadaniem jest zbiorowe palenie zarodków szarańczy w ziemi złożonych. Przyrządem tym (którego wyobrażenie tu zamieszczamy) jest piec dający się przewozić, różniący się nieco od zwykłych pieców, bo płomień w jego ognisku nie w górę się wznoszą, lecz parcie prądem powietrza, za pomocą wiatraczki poniżej opisanego, wybuchają pod rusztami. Użytek z pieca, jak się domyśleć można, jest ten, że rozpalony i wieszony po gruntach szarańczą dotkniętych, wyniszcza ogniem wszystko co gorzeć może na powierzchni i do pewnej głębokości w ziemi. Tym sposobem zarodki szarańczy zostają spalone, zwęglone, lub tylko przez gorąco pozbawione siły wykształcenia się.

W szczegółach swych przyrząd p. Sztafela przedstawia:

1) Piec z blachy żelaznej, (dług. łok. 4, szer. łok. 2, wysok. łok. 2) glina wewnątrz wyłożony, ze spodem rusztowym.

2) Dwa kominu blaszane, z tegoż pieca wyprowadzone, ścianą jedną kominową z sobą w górę złączone i zamykane kłapą (wys. łok. 3, przecięcie otworu cali 12).

3) Kanał blaszany z tegoż pieca ku przodowi wyprowadzony, od strony pieca na kłapę zamykany (dług. łok. 3, otworu łok. 1), w którym umieszczony jest:

4) Wiatraczek wciągający powietrze do pieca, podobny do tak zwanych bąków po kuzniach i odlewniach (średnica cali 36, prędkość obrotu: 500 razy na minutę).

5) Bardzo prosty mechanizm, złożony z pręta i dwóch ramion, który zamykając kłapę w kominie, otwiera kłapę w kanale powietrznym, i wprost przeciwnie, przez co płomień i dym, gdy przyrząd nie działa, wznoszą się w górę, w czasie zaś działania przyrządu wybuchają spodem.

6) Wóz do przewożenia całego pieca, tak niski, iżby ruszty były zaledwie na 10 cali ponad ziemią, z przodkiem urządzonym do upręży i z siedzeniem dla dwóch ludzi przy wiatraczku.

Ciężar całego przyrządu wynosi przeszło 8 centnarów. Podczas działania jego potrzebną jest pomoc ręczna dwóch chłopców obracających wiatraczek i furmaną; sprzężaj stanowić powinna para wołów lub koni.

Praktyczność przyrządu ocenia się z danych następujących. Ujeżdżając na sekundę stóp 2, (gdy piec jest szeroki łokci 2), objechać można przez godzinę

sążni 800; a że móg 300 pretowy zawiera sążni 1875, zatem na objechanie tej powierzchni potrzeba czasu godzin 2 1/3, czyli na włókę 30 morgową godzin 70. Robiąc jedną machiną dziennie po godzin 14, z odmianą ludzi i sprzężaju, zajmie to dni 5.

P. Sztafel nie pragnie z pomysłu swego żadnej korzyści, a chcącemu przyrząd zbudować, chętnie objaśnieniem usłuży i model wiatraczki, nieco zawilskiej konstrukcji, gotów mu udzielić.

Pomysł ziomka naszego zwrócił zapewne uwagę interesowanych rolników i życzyć wypada iżby spowodował szczerze nim zajęcie się. Przemawia za tym i ta okoliczność, że przemysł Zachodu Europy, jako nieinteresowany w napadach szarańczy, powtarzających się w ostatnich latach w południowo-wschodniej jej części, nie przedstawił nam dotąd żadnego środka ku zapobieganiu tej klęsce.



Przyrząd do niszczenia szarańczy, pomysłu J. A. Sztafela w Warszawie.

KRÓL WĘZÓW.

(Podanie ludowe wołyńskie.)

Pragnąc objaśnić szczegóły, na których opiera się przytoczone niżej podanie, sądzę że najlepiej uczynię, gdy zamieszczę urywek listu, pisanego z okolic gdzie ono życie wzięło. Spodziewam się że publiczne ogłoszenie tego oryginalnego i dziwnie dosadnego ustępu ze spostrzeżeń światłego zbieracza skarbów ludowych, nie będzie dlań przykrém i dla czytelników nieprzyjemnym. Zdaje się że niepodobna nic więcej o Polesiu (*) powiedzieć, po tylu opisach i wzmiankach w powieściach. Ale jak wszędzie, tak i tu, są pewne ustronia, których nie dosięga jeszcze stopa ani badacza, ani powieściopisarza; są pewne napiętnowane ponurą samotnością ostępy i knieje, obok których tuż blisko roi się życie gwarne, codzienne. Wioska Rudnia do takich zapomnianych, lub raczej pominiętych, okolic należy. Światły samotnik, znalazłszy się w tej ojczyźnie węzów i bagien, w przesłanym liście tak maluje ponure i wspaniałe obrazy.

Własności ziemi i w Rudni gdzie mieszkam i w ogóle w powiecie kowelskim, są przez to wyjątkowe, że na wielkiej, równiej jak stół płaszczyźnie, nieprzeciętnej najmniejszej nawet wzniesieniu, rzeki i rzeczki, nie mając pochyłego odpływu, snują się w najrozmaitsze strony, chowając się pod ziemię, znowu się pokazując i rozdzielając w mnogie strumienie; łączą się potem w jedno znowu koryto i tworzą boczne okolo rzeki jeziora, odnogi, błota, trzęsawiska; podwilżają nakoniec pod ziemią rozległe i bujne łąki, a wszystko to pokryte gęstym, nieprzebyłym lasem, lub gęstszymi jeszcze krzakami. Widzieć tu zającą, jest rzeczą tak zwyczajną, jak wróbla w Warszawie.

Rudnia jest wzniesieniem, jeżeli ją tak, w porównaniu z trzęsawiskami, nazwać wypadnie, obwodu najwięcej półtoręj mili mającém, które jest polem, lecz już poprzerznaném wysokimi krzakami, za którymi wioskę tę okala, jakby wieniec, ciąg lasów. U stóp wzniesienia, na którym leży Rudnia, płynie rzeka Wyzówka, cud w swoim rodzaju; z powodu własności udzielonych jej przez płaszczyznę którą przerzyna. Rzeka ta, nurtując na mil kilka w lewo i w prawo od boków swoich (gdyż brzegami nazwać ich niepodobna) pod ziemią, podsyca w niepojętym stopniu rozwijanie się zarośli i lasów. Ale ponieważ jest to pas ziemi cokolwiek cieplejszy w porównaniu z Warszawą, zaajdują się więc tu całe lasy czeremszy, jarzębiny, pruszy, z czarnymi jagodami i kaliny. Dziwna, że tuż przy jodle rośnie olszyna, dąb, leszczyna, brzezina. Lipy i klony rosną samorodnie. Samo koryto Wyzówki należy do tych bajecznych zjawisk natury, które wędrowcy opisują nam w Ameryce: koryto rzeki może mieć najwięcej pięć łokci; płaszczyzna zaś, po której płynie między gęstymi lasami, ma zwykle najmniej pół wersty szerokości. Zapytają mnie, cóż jest na tej półwerstowej płaszczyźnie? Trudno odpowiedzieć, gdyż nie woda to jest rzeczywistość. Ależ pokazuje się ona za stąpnięciem; może łąka,—nie, bo jest przecież woda pod spodem. Jakżeż więc dojść od brzegu płaszczyzny do samego koryta rzeki? jak skorzystać z bujnej trawy, która te głębokie porasta? Otóż robota taka skutecznia się tylko podczas mrozów, kiedy ziemia może utrzymać ciężar kosarza.

Tu jest państwo węzów. Trzeba do tego widoku bardzo być nazwyczajonym, aby go sobie na wieki nie zbrzydzić; jest to Flegeton, Styx lub jaka chcecie rzeka piekielna. Przechadzka w tych gajach okalających rzekę jest nader utrudniająca, bo z grubym i mocnym kijem z zakrzywionem na końcu żelaznem okuciem, zgięty ku ziemi, pilnie zważać muszę na każdy swój krok, aby nie nastąpić na węza. Wprawdzie przemagająca ich liczba należy do wodnych, lekliwych, z żółtymi na małej główce znaczkami; ale są też i straszne, długie, kasztanowate, jadowite gadziny; są także srogie gadziny czarne, z odrażającym białem nakrapianiem i z pyszczkiem-bardzo dużym, uformowanym należycie i doskonale, jak u bonońskiego szpica; niedziw więc że jak pies kąsać mogą. Jeżeli węze wodne karmią się grzybami i innymi roślinami, przedewszystkiem jednak żywią się żabami. Węze te nie mają zębów, przed ludźmi są tchórzliwe jak zające; więc żabę obszczypują tylko rogowatymi wklęsłościami, które natura dała im w pyszczku małym. Młode żaby wąż polyka całkiem i wtedy z tego małego pyszczka robi się ogromna paszczka. Większe zaś żaby owijają sobą, trzymając jak w łańcuchu i wtedy obszczypuje z nich skórę. Wrzask nieszczęśliwej ofiary jest przeraźliwy i doj-

muający: wiele z nich wybawiłem od męki. Równie donośny jest krzyk każdej żaby, gdy ją wąż za nóżkę złapawszy, nie puszcza.

Wyzówka płynie na czarno-ziemi, jest płytka, posuwa się niezmiernie wolno. Można więc domyślać się, że i samo koryto rzeki bujnie zarastają wodne rośliny. Jeżeli się zdarzy, że jakiegokolwiek miejsce brzegu rzeki jest cokolwiek wyższém, to jest wyższém o jakie pół łokcia, wtedy rozpościła tam panowanie swoje kalina. Jest coś szczególnego jechać z miłą pośród samej kaliny kwitnącej; ale biada okolicy, gdzie się taka czerwieni kalina! Krzaki te odwieczne tak się z sobą wiążą, że tworzą niczém nieprzebytą puszcę, a że niepodobna abyśśród tej kalinowej pustyni nie było wyrw i wybojów, utworzonych przez odwieczną zmianę koryta rzeki, parowów nie zapełnionych wodą, lecz zarosłych, jak włosiem, kaliną, której nowe, ogromne i dorodne pnie, rosną na spruchniałych od lat niepamiętnych,—można więc wnosić, czy w tak dzielnym bezdrożu nie będą gnieździć się wilcy. Z pośrodku zatem tych właśnie zachwycających ostępów, okoliczni mieszkańcy słyszą w ponurą noc zimową wycie tego zgłodniałego zwierza.

Rudnia bierze nazwisko nie od jakiegokolwiek rudy, ale od trawy rudęj. Jestto trawa konopiastego koloru, niewysoka, cienka, lecz bardzo twarda. Nadaje ona okolicy na jesieni i zimą widok ponury i smutny. Kasztanowate i czarne białe nakrapiane gadziny, snujące się po tej rudęj trawie, wzbudzają we mnie żal niewypowiedziany, po łagodnych pobrzeżach naszej starej Wisły.

Ponieważ, z powodu mnogości lasów, mieszkańcy biorą drzewo na opał i budulec zawsze mniej więcej z brzegów lasu, głab' więc tych ostępów pozostaje prawie nietkniętą. Tego lata jeździłem do lasu za Rudnią: droga z początku była szeroka, dobrze wyjeżdżona, równa i ciągnęła się tak w lesie z półtoręj mili. Przebywszy tę odległość, ja i woźnica sądziliśmy że dojedziemy do jakiejś chaty; lecz pomalutką zaczęła się zwężać coraz bardziej, w coraz grubszą zanurzała się ciemność. Nareszcie gałęzie drzew zaczynały przeszkadzać dalszej jeździe,—w końcu droga znikła. Będąc pewnym, że tak szeroka z początku droga nie może zupełnie zniknąć, posuwałem się dalej prawie bez żadnej już drogi. Naprawdę,—wszędzie gęszc i cisza. Kazałem więc coprędkiej zawrócić, gdyż jeśliby wieczór zapadł, Bog wie jakbyśmy do domu dojechali. Kiedy więc znowu natrafiliśmy na coś podobnego do śladów ludzkich, przejeżdżaliśmy przez różne wody. Woda była czysta, bieżąca, miała pod spodem piasek, po bokach wielkie liście roślin wodnych, świadczących że jest wieczna. Pośrodku koła całe poza osie maczały się w wodzie, widziałem pływające ryby, jechałem przez to. Ogarnęła mnie niejaka obawa. Pytałem, czy jedziemy przez bród? Woźnica odpowiada, że jedziemy przez Wyzówkę. Ależ, powiadam, musi tu być bród, jeżeli droga tędy prowadzi. „Drogać to czy nie droga, napewno niewiadomo,—odpowiódł chłopiec swoim narzeczem rusińskim—ale to już pewno wiadomo, że to Wyzówka.“ Ujechawszy tedy z pięćset jeszcze kroków, kazałem się zatrzymać i zwrócić w przeciwną stronę. Wspaniały zaiste był widok głębokiej, prawdziwej puszczy. Drzewa już ztąd nikt nie bierze ani na budulec, ani na opał, ani na handel; drogi piaszczyste stoją na przeszkodzie handlowi ciężkim drzewem. Więc jak je Bóg przed wiekami utworzył, lasy te rosną dotąd nietknięte. Konanie tylko lub zgon drzew odwiecznych są tu widoczne; stare i młode pokolenia znaczą tu swój żywot w tych ruinach dębowych, oglądasz odrazu, widocznie, przebieg długich wieków, w próchnie i młodych, pnących się ku niebiosom konarach. Dziewicza pleśń i rozsypane w proch pnie olbrzymie napelniają powietrze właściwym sobie zapachem roślinnego grobu. Ciemna głab' odwiecznego boru wynurza się przed oczy zdumionego widza, jak ów płaszcz majestatu natury; to cała historia tworzenia się. Tu kołębka natury na jej prochach; tu legli przed dziesięciu pokoleniami przodkowie — dęby i graby. Tu czas, tu piętno jego potężne zniszczeniem i starodawnością uszlachetniające pięć stulecia; ten sam czas, koronujący pleśnią i zgrzybiałością starożytnie baszty i pamiętki, wystąpił przedemnie jakoby z rozwartemi ustami i mówił: mówił przez ciemność i woń puszczy językiem stupłomiennym objawienia, pociechy i żalu, podniósł mnie i zniweczył, objął mnie jak Tytan; uczułem się szczęśliwym w tym uścisku ponurym. Podniosłem oczy wyżej ku szczytom i koronom spartych pomiędzy sobą olbrzymów. Ale puszcza pozazdrościła mi nieba; niebo widać było przez niewielkie otwory i luki pośrodku liściastego sklepienia, nad którym płynęła chmura. Zdawała się być tak blisko, że prawie rozpoznawałem wodniste i ruchome jej włókna; zapomniałem

się, chciałem uchwycić za jej strzępy szarawe.. ale wyciągnięta ręka była niżej jeszcze od najwięcej spróchniałego, leżącego dębu—ze mną równały się meby i paprocie..

Rzadko już sosny w takiej puszczy: dęby, graby i jesiony same tu panują. Każdy inny las rośnie prosto; tu przedstawia się, jak mówiłem, przerażająca ruina, przez to że zapewne kilkowiekowe dęby, zaczynając prućnić, pochylają się. Widzieć tu można dęby leżące jedne na drugich, a każdy z kilkosążeńniowym obwodem; niektóre drzewa, cokolwiek pochylone, nie mogą runąć, podtrzymywane przez inne wzrastające. Jestto więc widok jakby po trzęsieniu ziemi. Są miejsca, gdzie kilkadziesiąt dębów opadło jedno na drugie, a pod spodem tego chaosu płynie spokojnie błogosławiona Wyzówka. Jestto królestwo oddzielne. A jak łąki są siedzibą węzów, tak puszcza ta stanowi wyłączną własność pułaczów. Ogromne te i straszne ptaki, spłoszone niezwykłym dla nich turkotem powozu, wylazły z dziupel drzew bliższych i odlatają dalej.

Ślady burz i trąb powietrznych, wydarzonych Bóg wie kiedy, są tu widoczne: długimi rzędami powalone leżą drzewa, a z pośród tego pokładu wystrzelają młode graby jeden przy drugim. Ponieważ gęstość zarośli nie dopuszcza do nich światła dziennego, nagie więc i cienkie łodygi wyrastają bez liści, na dwadzieścia i więcej łokci od ziemi, i dopiero u szczytu pokrywają się zielonością..“

Oto podanie ludowe o królu węzów.

„Matko! matko! źle się dzieje,
Na plon próżne już nadzieje,
Znikła wilgoć z pól i łąk.
Żywy ogień pada z nieba,
Na Wołyniu zbraknie chleba!
A gdzie spojrzeć, wszędy w krąg
Szare pola, zeschły bór,
Znika liść z kaliny, z dębów
I poziomki z ciemnych wrębów,
Czyż tam niebu zbrakło chmur?
Gdyby znachor, gdyby pop
Dał mi pomoc, dał mi radę;
Do klasztoru het pojadę
I ostatni oddam snop.“

„Ho Pawluku, co ci nada,
Co ci pop? Gdy deszcz nie pada,
Nie pomoże i czart sam,—
Ja ci taką radę dam:

Już z pięćdziesiąt wiosen temu
Dziad powiadał oju memu,
A dziadowi jego dziad,
Gdy mu zboża wybił grad,
Że miał chleba, miał po uszy,
Ba i więcej, co chciał z duszy,
Do kołaczów miód i mak:
Jak on zrobił, ty zrób tak.

Jak przystało tu na ziemi,
Żyjem w modłach ze świętymi,
Ty i ja i stary kmotr,
Szle nam łaski święty Piotr.

Obraz jego zdobim w kwiaty
I corocznie w nowe szaty
I corocznie święcę dajem,
Starodawnym obyczajem.

A Piotrowa święta noc
Ma nad ludźmi wielką moc.
Ba, nie tylko ludzie sami
Czczą dzień Piotra modlitwami;
Boć wiadomo z dawnych lat,
Ty Pawluku temu wierz,
Czci go nawet dziki zwierz,
Czci go nawet plaz i gad.

A gdy przyjdzie dzień Piotrowy,
O północy, śród dąbrowy,
Na tém miejscu kędy dąb
Zapadł na pół w czarną głab,
Kędy kręty nurt Wyzówki
Najpiękniejsze ma ostrówki,
Na świętego częś i gody,
Tuż u brzegu cichęj wody,
Z łąk okolnych, z bagien, z pól,
Wielkim rojem suną węze
Wszystkie, wiele Wołyni złęze,
A na końcu sam ich król.“

(*) Właściwie nie jest to jeszcze Polesie.

„Strach matulu, strach matulu,
Jakż znak jest na tym królu?”

„Blizki pełni księżyc błysnie,
I światelko w las przecisnie,
Wtedy cicho, cicho, stoj!...
A gdy spojrzysz w straszny rój,
Jeden wąż tam wielki będzie,
Na najwyższej kępie siedzie,
Potém głowę wzniesie srogi,
Na niej złote zalsnią rogi.
Wtedy świętość na pierś tul—
To ich władca, to ich król.

Później krzyża znamię zrób,
Zręcznie skocz i wyrwij róg,
Wsun zanadze drogi łup,
Do dom pędz, nie żałuj nóg.”

„Matko, wiesz że się nie boję,
Ale może nie dostoję,
Cóż uczynię, gdy mi jad
Mściwym zębem wpoi gad?”

„Słuchaj tylko moich rad:
Weź siekiere do obrony
I ten ręcznik doświadczonej,
Którym kołacz się okręca,
Gdy w wielkanoc ksiądz poświęca;
I weź jeszcze pas czerwony,
Co obwija święte jadła,
By kruszyna nie upadła.”

* * *

Nadszedł wielki dzień Piotrowy.
Cicho, pusto śród dąbrowy,
Grab przy grabie, dąb przy dębie,
Stoją jakby zwarte społem,
Czarném, groźném stoją kołem,
A pośrodku wód spią głębie.
Spia na pozór, nurt zdradliwy
Pod kepami leśnych róż,
Sroższy niżli orkan burz,
Cicho targa za mech siwy,
Wciąż podmywa korzeń dębu,
Najpiękniejsze kwiaty zrębu.
Tam dąb jeden runął już...

Z jego trupa wieki wioną,
Puhacz w martwe wpił się łono.
I złowrobnym dzwoniąc szponem,
Nad olbrzymia wyje zgonem...

Inne dęby, niby strażę,
Cós ponuro szumią w liście,
Napół słodko, uroczyście,
Jak olbrzymy-gawędziarze.

Na Wyżówce, jak dwie głowy
Przyczajonych w wodzie duchów,
Jakby żywe, dziwnych ruchów,
Kołyszą się dwa ostrowy.
Pieści gąszcz ich rzeka chłodna,
A ich grunt, to otchłan wodna.

Tam ukryte spią słowiki,
Słodki z latem kończąc śpiew,
Nad kaliny kraśny krzew
Szepczą olchy i osiki.

Przez szczyt boru mdło prześwieca
Tajemnicza twarz księżyc;
A na liściach kropelkami
Wciąż go rosa drżąc mami.
Lecz on w gronie gwiazd świetniejszych,
Gardzi blaskiem siostrzyc mniejszych,
Do porannych dążąc bram,
Płynie sam...

Puszcza spi... nie... słyhać kroki,
Słyhać suchy trzask gałęzi;
Echo śpiące na uwiezi,
Jak spłoszone leci ptaszę,
Uderzając w dąb wysoki,
Szumi w lekkie z drzew poddasze
I szeleszcząc liściem, ginie...

Pawłuk, błądząc po kalinie,
Wszedł z toporem na ramieniu
I w odwiecznym stanął cieniu.
Stanął—czeka; północ blisko,
Zahuczało tżęsawisko,

Zahuczała sykiem puszcza...
Już węzowa dąży tłuszcza,
Aż zatrzesły się ostrowy.
Zewsząd, z bagien, z pól, z dąbrowy,
Suną wielkim rojem węże,
Wszystkie, wiele Wołyni złęże.
A na końcu w złote rogi
Zbrojny, pełźnie król ich srogi.

„No Pawluku, teraz śpiesz,
Zręcznie skocz i zręcznie schwyć,
Lepiej niżli z głodu mrzecz,
Zgiń tu, albo... zginie zwierz.”

Sam tak rzeknie, rąco wpadnie
I za rogi schwyty składnie
I oderwie, za pas schowa—
Już ucieka w znany ślad...
Syknał z bólu wściekły gad,
I od syku drży dąbrowa,
I mirady zmij centkowych,
Roje węzów, czarnych, płowych,
Zasyczały zionąc jad.

Ten ucieka, a te gonia,
Już są blisko, już nad skronią
Tryska pianą mściwy żab,
Pawłuk zemknie po za dąb,
Topór rzuci węzom w oczy
I sam dalej pędem skoczy.
Przy ręczniku topór był,
Już więc nabył świętych sił,
A gdy pośród zmij upada,
Zatrzymała się gromada;
Lecz niedługo znowu goni,
Znów się Pawłuk za dąb schroni,
I ten ręcznik doświadczonej,
Którym kołacz się okręca,
Gdy w Wielkanoc ksiądz poświęca,
Rzuci wściekłym węzom w oczy,
A sam dalej pędem skoczy.

Darmo pragnie rój przeszkodę
Przebyć—pełźnie w trawę, w wodę—
Darmo błądzi, wpada w szat,
Święte płótno tkwi jak wał.
Lecz ich taki trapił ból,
Gdy bez rogów został król,
Że na pomysł jeden wpada
I na ręcznik paproć składa.
Wnet za chytrym inne gadem
Podążyły węże śladem
I pełzając przez paprocie,
Znów tysiąc, znowu krocie
Gonia dalej.—Ten ucieka,
Ale jeszcze wieś daleka;
Bo przez wielką łakę ścieżka
Wiedzie tam gdzie matka mieszka.

Już od biegu stracił siły,
Już mu nogi nie służyły,
Już znów gady tropem w trop
Dosiegają samych stop.
Chroniąc się przed zgubną matnią,
Rzuca Pawłuk broń ostatnią—
Na Wielkanoc poświęcony
Z pod obrazu pas czerwony;
Nim obwijał święte jadła,
By kruszyna nie upadła.
I gdy rzuci węzom w oczy,
Już w zwątpieniu i oblędzie
Ledwo, ledwo dalej kroczy.

Tu znów zmije w wielkim pędzie
Wstrzymały się, naradzały,
Jak te święte przebyć wały.
A gdy radził mnogi tłum,
Taki powstał świst i szum,
Tyle czasu stracił rój,
Że już Pawłuk z czuciem błogiem
I ze złotym w dłoni rogiem
Ujrzał miły domek swój.

Matka wyszła na spotkanie,
Na serdeczne powitanie,
Pawłuk upadł do jej nóg,
A gdy posiadał złoty róg,
I dla matki i dla sług,
Dla sąsiadów i dla gości,
Było zboża w obfitości
I był zawsze pełny bróg.

Józef z Mazowsza.

DRZEWA PODANIOWE.

opisał

Józef Grąjner.

(Z rysunkami Kostrzewskiego.)

(Dalszy ciąg.)

3. Jawór.

Jawór, gatunek lipy, w „Światyborach”, lasach świętych naszych, był poświęconym drzewem. Więcej tęskny niż lipa, głównie nad wodą rosnący, częściej jest w miłosnych piosenkach ludowych napotykan; z nim się łączy słodkie wspomnienie miłości, jakiś żal tęsknoty, niby szum jego liści ponad strumieniem cichym, samotnym... Bo i któż nie zna owej sielanki Karpińskiego o Filonie:

„A ktoś tam klaszcze za borem...”

Pod umówionym jaworem.

lub drugiej rzewnej tegoż pieśni, niby z ust ludu wyjętej:

Bieży strumień doliną,
Nad strumieniem jawory,
Tam ja z moją Justyną
Słodkie pędził wieczory...

Niemniej żałośnie śpiewa pieśń ludowa o tym drzewie, pod którym kończy życie Jasienko:

U mej matki rodzonej,
Stoi jawor zielony,
Pod jaworem nizińko
Leży chory Jasienko i t. d.

lub inna, gdzie Mazur żegna swą ulubioną:

Ciecze woda z pod jaworu lodowa! lodowa!
Da moja Kasieczku, bywaj mi zdrowa!

W pieśni o koledzie, śpiewywanej w karpackich stronach, która widocznie z przedchrześcijańskich płynie czasów: „śród dworu jawór stoi, na jaworze złota rzęsa; wybiegła nadobna dziewczyna, rozpuściła białe fartuszek. Przylecieli rajskie ptaszęta, obtrzęśli te złote rzęsy; wybiegła nadobna dziewczyna i pozbierała złote rzęsy i skoczyła do złotniczka. Złotniczenku, namesniczenku! mówiła, uleż mi złoty kubek, złoty kubek, srebrny kraj; któż to będzie z niego pijał?” Jest to widocznie wspomnienie owego rajskiego mitologii naszej jaworu, szumiącego w Światymborze; w raju bowiem Słowian rosły drzewa z srebrnymi liśćmi i złotymi owocami.

Pamięć o nich odbija się jeszcze w piosenkach, np.

Stoi jawór zielony, złotem pokrapiany,
Jużci mnie odjeżdża najmiłszy kochany.

Wróżyła też sobie pod jaworem kochanka, oczekując powrotu lubego; np.

Pod jaworowym cieniem
Wróży dziewczę pierścieniem...

Jawór jest drzewem jednym z największych, rośnie prosto i bardzo wysoko, bez gałęzi; korę ma gładką, siwo i popielatą, wierzch gęsto zarastający.

Z jaworu te same wyrabiano sprzęty jak z lipy; głoszą też piosenki krakowskie, że w pięknym mieszkaniu Kasienki były „wrota jaworowe, a odrzwia dębowe,” był to więc już wykwinny domek.

Piękna pieśń słowacka p. n. „Zaklęta dziewczyna”, przełożona bardzo wdzięcznie przez L. Siemieńskiego, opiewa tak o jaworze:

Matka miewała leżąc posłaniu, o porannej zorzy wygania córkę po wodę zdroistą, wytryskającą z pod cienistej lipki. Córka nie mogła znaleźć zdroju, bo szli wtedy Tatarzy, a gdzie się Tatar pokazał, gdzie błysła jego szabla, tam z drzewa ni listka, a z wody ni kropelki nie zostało. Matka wciąż z komory swojej woła córkę, woła wody, ale napóżno, ani ze zdroju, ani z rzeczki wody nie niesie. „A bodajżeś tam wrosła na wieki, gdzie stoisz!” zawołała matka we złą godzinę, i w tejże chwili dziewczynę przeklęła. Jęć ciało, jęć nóżki ubrały się w korę, a z pierścieni włosów zazielenił się piękny jawór. Tymczasem dwaj bracia guślarze, idąc drożką ze śpiewem i gędzeniem, doszli do jaworu. Jeden z nich, zachwycony tak pięknym drzewem, zachęca drugiego, aby z jaworu dwoje skrzypek wystrugać, bo podobnego nie widzieli jeszcze, obchodząc świat w okółenku. Nuż więc rąbać co żywo; ale o cuda! z drzewa krew bryzgła im w oczy... Upadli na ziemię przestraszeni; po chwili znowu się wzięli do rąbania; wtedy z jaworu głos usłyszeli: „Rąbacie, tylko serca mi nie ruszcie; dość dla was dwie ręce na dwoje skrzypek, a ja wam nastroję taką piosenkę:

„Wyjdź, pani matko, w sień, w sień,
Przynosim dobry dzień, dzień,
Od panieneczki,
Co sukieneczki
Jaworowe ma.

Nuże skrzypczki brząk, brząk,
Wystrugane z jej rąk, rąk,
Nuże z pod smyczka
Śpiwaj duszyczka
W drzewie zaklęta.“

Gdy dwaj gęślarze dalej idą po rosie, zaraniem, grając tak żałośliwie, usłyszała ich matka zaklętej dziewczyny i woła, by nie grali już więcej, bo serce jej z żałości pęka, że córkę przeklęła.

Taki więc jest podaniowy początek jaworu u Słowaków, a może i u innych Słowian; początek ten żałosny, więc jawór i w pieśniach żałosne, tęskne ma zastosowanie, jak to wyłożyliśmy wyżej.

Jaworu czepia się zwykle kalina, jest też ona jego kochanką, tak jak jemioła dębu, o czym też istnieją piosenki, które przytoczymy przy kalinie.

Taki sam jest charakter jaworu i u Rusinów, jak to między innymi widzimy z „Dumki ruskiej“ przełożonej przez powyższego poetę. Zaczyna się ona tak:

Stoi jawór, zgiął majowe
Gałązki, na wodę;
Smutny Kozak zwiesił głowę,
Ciężką ma przygodę.

Jedzie bowiem ten Ukrainiec w kraj moskiewski, na wronym koniu i tam ginie bez słuchu, jak kamień w morzu.

Dawniej były całe gaje jaworów po kraju polskim; od nich wiele wsi czerpie swą nazwę; a dziś jeszcze niedaleko m. Wielunia w Bolkowskich lasach mnóstwo szumi starych jaworów.

EUREKA,

SZKIC SZCZĘŚCIA ZIEMSKIEGO.

skrészony przez A. W. Lasotę.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Dzień urodzin Zosi.

Dzień urodzin Zosi był dla niej dniem najrozkoszniejszym w roku. W tym dniu macocha nigdy się na nią nie gniewała; w tym dniu otrzymywała upominki od ojca, macochy, braciśzków. W tym dniu przyjaciele dołączali do tych darów także swe dary i zwykle w ich gronie przepędzano wieczór wesoło, przy paru szklaneczkach herbaty, półmisku owoców i babkach, które pani Salomea wybornie piec umiała.

Ranek był przecudny, jesienne słońce grzało miłym i pożądanym ciepłem. Zosia w białej sukience, z kwiatkiem u kruczyci włosów, jedyną ozdobę w jaką zawsze lubiła się przystrajać, przeglądała podarunki otrzymane, a rozłożone na stole okrytym białym jak śnieg obrusem.

A były tam przesliczne rzeczy.

Najprzód sztuczka wełniana w zielone i białe kraty na sukienkę, dar ojca; potem rekawiczki czarne i sześć chusteczek do nosa, z haftem otaczającym jej cyfrę, dar macochy; dalej dwa grzebyczki do włosów, dar Julka; potem woalka czarna tiulowa, której jeszcze nigdy w życiu nie miała, dar Stefcia; i piękny woreczek z paciorem od zakonnic z klasztoru, i ogromny półmisek jabłek, gruszek, śliwek, winogron, moreli, od chrzestnej matki. Ale w środku stołu był podarunek najokazalszy ze wszystkich: w porcelanowym złocistym wazonie przepyszny bukiet, przepasany różową wstążką, na której były jakby sztychowane dwa całujące się gołębie, a pod nimi podpis złotem literami:

Pannie
Zofii Ludwińskiej,
w dzień jej urodzin,
dnia 23 września 1858 roku,
od

najniższego sługi,
Tadeusza Sobieradzkiego,
Głównego Archiwisty
Izby Obrachunkowej tymczasowej w Krakowie.

Cokolwiek zaś niżej dwa wierszyki:

Serce moje i twoje,
Złącz Boże oboje.

Na ten bukiet zdobył się więc, jak widzimy, pan Tadeusz Sobieradzki, archiwista izby obrachunkowej tymczasowej.

Był to młodzieniec wysoki, chudy, blade i łysy, twarzy pociągłej, nosa długiego, oczu niebieskich. Nie miał wprawdzie wąsów, ale za to obficie zażywał tabakę, co jedno drugie wynagradza.

Pan Tadeusz ubierał się wiecznemi w *tużurek* tabaczkowy, pantalion stalowej barwy i kamizelkę białą pikową. Na wielkie tylko uroczystości wdziawał frak granatowy z błyszczącymi guzikami i pantaliony tegoż koloru; kamizelka nie ulegała zmianie. Kołnierzyki wysokie, mocno wykrochmalone, podrywały mu po obydwóch stronach uszy; dusza z włosów, zawinięta w czarną mantynową chustkę, utrzymywała szyję jego w przyzwyczajonej sztywności.

Kilkakrotnie w życiu miał silne poczucie potrzeby zawarcia związku małżeńskiego, ale jakkolwiek starał się o wyszukanie narzeczonej, zawsze wybrany przedmiot uwielbienia ktoś mu z przed nosa porywał, a biedny pan Tadeusz zostawał na koszu.

Tak dochował kawalerstwa swego do roku 46, który właśnie spodziewał się ukończyć w dniu 28 października bieżącego roku.

Bywał on regularnie co niedziela u swego młodszego biurowego kolegi, pana Kaspra. Dotąd prawie nie widział, że Zosia dorasta; ale jakże miał widzieć, kiedy ją do chrztu trzymał w trzecią parę, a dzieci chrzestne zawsze powinny być małe. Dopiero odkąd Kazio zaczął bywać w białym dworku, a cel jego odwiedzin nie był trudną nawet dla pana Tadeusza do odgadnięcia tajemnicą, zauważył że Zosia jest piękną, a co ważniejszą do stanu małżeńskiego kwalifikującą się individuum.

Pan Tadeusz pomyślał sobie, że i on jest kwalifikującym się do małżeństwa i zażywszy tabaczki, połknął ślinkę. Ale pan Tadeusz, choć w biurze odważny, w miłości był nadzwyczaj nieśmiały i zawsze potrzebował kogoś, co by go poprowadził.

Na szczęście nawiązał mu się pod rękę ks. Norbert karmelita, pierwszy swat na całym przedmieściu; zaciągnął go więc na buteleczkę wina do Federowicza i po długiej przedwstępnej rozmowie o pogodzie, polityce i klasztornych sprawach, rzekł, krztusząc się:

— A... czy wie ks. Norbert, nawiasem mówiąc, że ta mała Zosia Ludwińska... urosła...

— A wiem, rzekł karmelita, pociągając z lampeczki.

— Nawiasem mówiąc, mociumdzieju i nieszpeta... i pracowita... a ja... nie mam żony.

— To się jegomość żeni, mnie wszystko jedno... Tylko że to jeszcze błazenkowate, nie ma swego rozumu... ani to na matkę, ani na gospodynię, rzecze ślady.

— Hm, mociumdzieju... toć to z jednej strony niby prawda, ale z drugiej znów strony, nawiasem mówiąc, taka najlepsza na żonę... taką poprowadzisz łatwo, jak młodego aplikanta w biurze... a nawet, mociumdzieju, doskonale piecze placki z serem.

— Prawda, prawda jadłem u nich na wielkanoc wyborny placek z serem. Ale, mówiąc bez nawiasu, jegomość trochę dla niej za stary.

— Hm... ba... gdzie tam... A ten muzykant z zamkowej kapeli miał 73 lat jak się żenił z ośmastoletnią dziewczyną... A ja mociumdzieju młodszy jestem od niego o 28 lat, i jeżeli jest tylko miłość...

— Ha, toć to prawda, że miłość na wiele nie zważa; tylko że się tam kręci jakiś młodzik, świszczypalka, to nie wiem czy jegomości poradzi.

— Nawiasem mówiąc, już mu dali od kosza. Pani Kasprowa zła na niego jak wszyscy diabli. Ale mociumdzieju, jak się ta wzięła do tego? Trzeba namysłu i sposobu—he?

— Et co się tam namyslać? Odrzuć z góry, po prostu z mostu, oświadczyć się i kwita.

— Ale jak, mociumdzieju?

— Przyjdźcie jutro do mnie, przyniescie z sobą jakiś ładny wazonik porcelanowy, zrobimy bukiet i przewiążemy wstążką, a na niej będą wypisane oświadczenia złotem literami.

— Ba! ba! a któż napisze? Ja od 12 lat zaciągam tylko akta, ale nie nic nie referuję.

— To tam bagatelka; kaźcie tylko podać drugą butelkę wina, to się i koncept znajdzie.

Nazajutrz pan Tadeusz przybył przed wieczorem do klasztoru, niosąc w papierze zawinięty wazonik porcelanowy, który dla oszczędności kupił u Bazesa na Kaźmirzu.

Ów tedy wazon, bukiet i wstęgę widzimy na stole Zosi.

Pana Kaspra bukiet ten zachwycił; napróżd że był to dar wyższego urzędnika dla córki niższego; kolegi blisko 1/3 część pensji swoich stracił.

powtóre, że pan Tadeusz był wcale niezłą partią, miał po rodzicach 4000 reńskich w obligacjach indemnizacyjnych, co stanowiło 300 reńskich dochodu, a oprócz tego pensji rocznej 3000 złp., czyli według ewaluacji na monetę konwencyjną 714 złr. 17¹/₂ kr. (4) podczas gdy pan Kasper miał tylko 2000 złp., czyli podług ewaluacji na monetę konwencyjną złr. 476 kr. 14¹/₂. Powtóre, że pan archiwista był dobrym kolegą i mimo wyższej posady, często zapraszał pana Kaspra na śniadanie. Po trzecie, co najgłośniejsza, że niegdyś razem służyli wojskowo i niejedną noc przy wspólnym obozowym ognisku spędzili.

Poswięcić Zosi i wydać ją za zaschłego archiwistę, nie zdawało się wcale dziwnym panu Kasprowi; tylko to mu nie mogło pomieścić się w głowie, jak można mieć zięcia wyższego posadą i szanować go jako starszego urzędnika, kiedy z praw naturalnych wypadało że zięć powinien szanować i słuchać teścia.

Pani Salomei wszystko jedno było za kogo Zosia pójdzie, byleby poszła. Zasmuciło ją wprawdzie że Kazio przestanie bywać i upragnione przez nią małżeństwo spełnie na niczym i była zrana z tego powodu w złym humorze; ale pan Tadeusz, spadłszy jak z deszczem z swoim kolosalnym bukietem, rozwił te chmury, a pani Salomea tak uprzejmie przyjęła archiwistę, że go do reszty ośmieliła.

— Figlarz, aj figlarz z pana, mówiła, podając mu szklankę kawy, ktoby się spodziewał że takie śliczne wiersze umie robić. Oj, mądrze pan archiwista robi, bo ja zawsze gniewałam się na pana, czemu się pan nie żeni.

A Zosia?... Zosia struchlała, przeczytawszy złocisty napis na wstędze; ale matka, ujrawszy że niechętnie odwróciła główkę od bukietu, szepnęła kilka słów dobitnych... musiała więc bukiet w pośrodku upominków postawić. Mama mi pewnie każe iść za tego nudziarza pomyślała... i będę musiała to zrobić... Biedny pan Kaźmirz...

Pan archiwista był w cudownym humorze i szepotał do księdza Norberta:

— Bóg zapłać za dobrą radę, ma ksiądz u mnie, nawiasem mówiąc, dwa funty tabaki mieszanej.

— Panie Boże zapłać, odrzekł karmelita, ale to nie dosyć.

— Jakto niedosyć? No to dam trzy funty—Co?

— I to przyjmij, rzekł ks. Norbert, ale ja nie to rozumiałem. Mówię że niedosyć bukietu, trzeba się jeszcze starać o łaskę panny.

— A jakże to, mociumdzieju, he?

— Jak jegomości serce dyktuje, ja tam tego nie próbowałem.

Tymczasem bawiono się doskonale u państwa Ludwińskich. Oprócz pana archiwisty i księdza Norberta, był i ks. Remigiusz kanafarz z pobliskiego klasztoru, i pan Gromadkiewicz, pół urzędnika, pół adwokata, lubiący spijać i zajądąć za cudze pieniądze, i ów nędzny legawiec, pan Walenty, który doprowadził Stefana do białego dworku, aby tam szczęście dwójga ludzi zgrychotać, i państwo Kleofasowie, kancelistwo z izby obrachunkowej, z dwiema córkami Julką i Zosią, koleżankami klasztornymi Zosi.

Były to dziewczęta niezsute, ale często bawiące się w towarzystwie mężczyzn, więc śmiałe i rezolutne; Zosi ani się do nich umywała. Julka miała lat 18, a Józia była co do wieku rówieśniczką Zosi.

Pan Tadeusz, napompowany przez księdza Norberta, przysunął się do panien stojących przy stoliku. Szedł tam z myślą pokazania się młodym i dowcipnym. Nie wiedząc jednak od czego rozmowę począć, dobył tabaki i podając pannom, rzekł:

— Mówiąc nawiasem, może panie, mociumdzieju, pozwolą tabaczki?

— Dziękuję, szepnęła Zosia.

— A pfe, zawołała Józia, a któż to widział panny częstować tabaką?

— Jak będę w tym wieku co pan archiwista, rzekła Julka dygając, to proszę się do mnie zgłosić z tabakierką.

(1) Z jednej grzywny kolońskiej wybijano złr. 20, a złp. 83³³/₁₂₅. Gdy rząd austriacki zajął Kraków, jeden z urzędników zaproponował, aby w wypłatach pensji liczono reński za 4 złp. 6 gr. Wniosek ten utrzymał się i do tej stopy zredukowano pensje urzędników b. rzplitej krakowskiej, chociaż już wtenczas srebra nie było, a reński papierowy miał rzeczywistą wartość ledwie złp. 3 gr. 12. Tak urzędnicy z łaski kolegi blisko 1/3 część pensji swoich stracił.

Pan Tadeusz, tak niespodzianie ugodzony, stropił się, okręcił się na pięcie i już myślał o odwrocie, gdy mu ksiądz Norbert przybył na sukurs.

— Piękny bukiet, bardzo piękny, musi się pannie Zosi podobać.

— Podoba, rzekła Zosia głosem za ledwie dosłyszczanym.

— A wazonik, co? jakie śliczne kwiaty! złoto aż kapiel...

— Czy też ksiądz Norbert uwierzy, rzekł ośmielając się archiwista, że z wielkim targiem ledwie kupilem go za 2 reńskie, krajcarów 45, mociumdzieju?

— Jak to dobrze, rzekła złośliwie Julka, że pan archiwista umie się targować; kto inny musiałby dać pewno 3 reńskie; dobra i złotówka oszczędności.

Pan Tadeusz znówu się stropił, ale zachęcony wzrokiem ks. Norberta, postanowił iść na przebój.

— Ho, ho, rzekł, zażywając dla odwagi sporą szczyptę tabaki, nawiasem mówiąc, to święte kwiatki, bo z ogrodu karmelickiego od ks. Norberta, dlatego tak dobrane.

— To pan archiwista ich nie kupił? zagadnęła Julka.

— Ja myślałam że kupione, dodała Józia.

Pan Tadeusz zaczerwienił się jak rak, ale nabrał jeszcze raz odwagi i mówił dalej:

— To nie są kwiaty na los szczęścia zbierane, tu każdy kwiatek ma swoje znaczenie. Ta śliczna różyczka biała, to panna Zofia, a znówu ten gwoździk to... to ja...

— A kiedy on nie łysy, zauważała Julka.

— Ani zatabaczony, poprawiła Józia.

— Ten pasowy kwiatek, cedził dalej drżący od gniewu archiwista, co pomiędzy nimi, to... to gorąca miłość.

— Jakż gwoździk przy niej mizerny, rzecze Józia.

— Bławatek znaczy stałość, recytował jednym tchem pan Tadeusz; mięta pieprzowa nadzieję, nagietki za zdrość, ta pasowa georginia to mama, ten tulipan to tatko, a ten trzewiczek Matki Boskiej, to ksiądz Norbert... co... co śluby daje.

— A ten narcyz błady, ze schy-

loną główką, co się tak tęsknie wpatruje w różę, czy pan wiesz kto to jest? zagadnęła Julka.

— Nie, prawdziwie, nie pomyślałem o tém, rzekł p. Tadeusz, kontent że może przeblaga żmijkę.

— A ja wiem,

Kazio i Zosia stali, trzymając się za ręce. Kazio wpatrywał się w te cudne lica, ale nie mógł wyrzec jednego słowa,—wzruszenie mowę mu odjęło. Zosia czasami wznosiła oczy do góry, ale wytrzymać nie mogła wzroku Kazia... Stali i milczeli.

Wtém z sionki dała się słyszeć piosenka:

„Czy widzisz na tej skale
Tego co groźną nosi broń“...

— To mama idzie, zawołała Zosia, nie posiadając się z trwogi i usiłując wyrwać rączkę z rąk Kazia. Ale on przytrzymał ją silnie i wsunawszy na paluszek pierścione z niezapominajką, zawołał:

— Droga Zosiu, przyjm ten pierścionek jako pamiątkę tej chwili. Noś go, niechaj ci mnie przypomina, jeżeli mnie nie stanie.... I szybko zniknął.

X.

Burza.

Na drugi dzień wieczorem siedział pan Kasper przy swym stoliku i zaciągał starannie do swego dziennika dzieńne wypadki.

Pani Salomea siedziała także przy stoliku, a koło niej Zosia; obie szyły sukienkę wczorajszą; Julek i Stefek stawiali domy z kart.

— Nie cierpię, rzekła pani Kasprowa, przerywając milczenie, tych dwóch błaźnic, Julki i Józii. Mogliby też Kleofasowie inaczej chować dziewczęta. Ja nie matka, a przecież Zośkę wychowałam jak się patrzy; nigdy się przy ludziach z żadnym głupstwem nie wyrwie.

— A cóż one zrobiły? zapytał flegmatycznie pan Kasper.

— Co zrobiły? śmieszne pytanie! Powiedziały jakąś niedorzeczność panu Tadeuszowi i tak się obraził, że do samego wyjścia już nie przemówił ani słowa. Dopiero we drzwiach mruknął, kiedy go zapraszała.

— Niech lepiej pani dziennikarzowa zaprosi pana Kaźmirza; ja i mój bukiet nie jesteśmy tu w właściwym pomieszczeniu fascykule.

— A cóżby to takiego być mogło?

rzekł zdziwiony pan Kasper. Zaraz pójdę i dowiem się... I złożę dziennik, szedł wziąć surdut na siebie.

— Nie potrzeba, siedź w domu... dosyć się wylataś cały dzień po mieście...

Pan Kasper usiadł.

(Ob. dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 220.
Śmierć oczy i usta zawiera, skrzynki bez klucza otwiera.

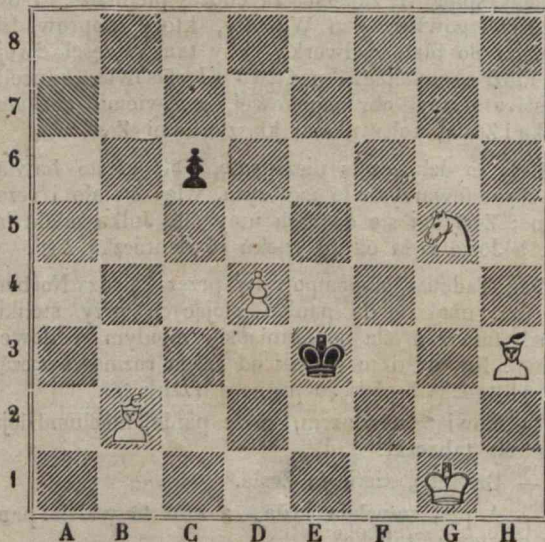
(Dodatek.)

SZACHY.

ZADANIE CLXXXIII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 183.

Białe.

Czarne.

- 1) A 4—B 2. 4) B 5—A 6 (*).
- 2) E 4—A 4 †. 2) A 6—B 5.
- 3) A 4—A 4. 3) B 5—A 4 biorą.
- 4) H 4—C 6 †. 4) B 6—B 5.
- 5) C 6—E 4. 5) H 2—H 4 (królowa).
- 6) E 4—C 2 † i mat.

(*) Widoczną jest rzeczą, że gdyby król czarny poszedł nie na A 6, lecz na A 4, dostałby mata tym samym sposobem już w 4ém posunięciu.

— I któż to? bardzo jestem ciekawy.

— To pan Kaźmirz, zawołała dobitnie Julka.

Zosię oblał rumieniec, a pan Tadeusz, zmieszany tą niespodziewaną interwencją, wydobyl śpiesznietabakierkę z kieszeni i machinalnie podając ją Zosi, rzekł drżącym głosem:

— Może pani, mociumdzieju, pozwoli.

Dziewczeta parsknęły śmiechem i zostawiwszy osłupionego adonisa, wybiegły przed dom.

A tam stał Kazio błady, smutny, znękany, jak ów narcyz w bukietcie pana Tadeusza. Oczy mu tylko w głąb wpadły i dzikim ogniem się iskrzyły.

— Panna Zofia! zawołał drżącym głosem.

— Ach, pan Kaźmirz! Jakż pan błady! rzekła Józia.

— Przyszedłem pani powinszować...

— Pewnie macie sobie coś do powiedzenia... tu możecie mówić bezpiecznie... my z Julką będziemy pilnowały, żeby mama nie nadeszła, a jeżeli wyjdzie z pokoju, to ja zaśpiewam piosnkę z Fradiavola i Julka was ostrzeże. Ale, ale, muszę panu powiedzieć, że pan Sobieradzki oświadcza się o Zosię; nie daj że pan zabrać jej sobie z przed nosa.

Zosia była tak zdziwiona, tak pomieszana niespodziewanym zjawieniem się Kazia, że nie mogła słowa przemówić. Kazio porwał obie jej rączki, tulił je do płonących ust, a potem rzekł:

— Panno Zofio, przyjmij moje życzenia. Kocham cię nad życie... nigdy, do śmierci kochać nie przestanę! Przełamie wszystkie przeszkody, tylko powiedz, powiedz mi droga pani... powiedz... i uciał, nie mogąc się zdobyć na wyrzeczenie ostatniego słowa.

— Coż mam powiedzieć? zapytała cicho Zosia.

— Powiedz mi czy mnie kochasz?

Dziewczę zbladło, wargi jej zadrgały... milczała przez chwilę, a potem ścisnęła rękę Kazia i wyszeptowała.

— Kocham!

O czarowne słowo! Kto je pierwszy raz w życiu usłyszał z ust anioła, temu na wieki brzmieć będzie. Słowo najwznioślejsze, jakim Bóg ozdobił mowę ludzką!

— Słuchaj, rzekła macocha do Zosi. Co Julka powiedziała wczoraj panu archiwście? czy mi odpowiesz, ty! ty! damo romansowa! I szarpnęła tak silnie za rękaw Zosię, że kawałek perkaliku sukienki został w palcach.

— Ach ty mruku szkaradny, zawołała uniesiona gniewem, jeszcze drząc będziesz suknie! Ja cię nauczę! ty! ty! ty!

A za każdym ty, wymierzała silniejsze uderzenie w ramię dziewczęcia.

Zosia zerwała się z krzesła i zakrywając oczy rękami, poczęła w głos płakać.

— A to co za pierścionek? krzyknęła pani Salomea, przed której bystrzym okiem nie ukryć się nie mogło, co to za pierścionek? gadaj mi zaraz!

— To, zawołał Julek, ten pierścionek dał Zosi wczoraj przed bramą pan konsyliarz, ja widziałem, bośmy się bawili koło kasztana.

— Co? co? ty się z nim widujesz? ty się z nim schodzisz? ty niewstydnico. Poczekajno, moja panno, ja ciebie nauczę....

I porwawszy ze stołu linię męża, rzuciła się jak pantera na Zosię.

Ale nagle pojawiła się podwójna interwencja.

Stary żołnierz odzyskał dawną energią, skoczył jak błyskawica, wyrwał z rąk żony linię i rzucił w kąt. W otwartych drzwiach ukazał się Kazio, bladej jak widmo z tamtego świata powracające. Cera dziwna pośliznęła twarz mu pokrywała; przez jeden dzień zmienił się do niepoznania.

Salomea, rozgniewana na Zosię, męża, całą złość swoją teraz wywarła na Kazia.

— Bardzo dobrze żeś pan przyszedł, chociaż nikt pana o to nie prosił. Co pan sobie myślisz, żeśmy dziady, zebraki, jakaś holota, żeby sobie z nami tak postępować? Jak pan śmieśz widywać się z moją pasierbicą i balamucić to niegodziwe stworzenie? Dosyć nauczyłam się z nią przez lat dziesięć, czy mam jeszcze doczekać się czego gorszego? Proszę sobie wziąć swój pierścionek, ona go nie potrzebuje, ona pana niecierpi, nienawidzi, niechce pana znać, bo ja jej tak każę, rozumiesz pan! Proszę sobie iść do swojego papy i nigdy nam się na oczy nie pokazywać... rozumiesz pan!

I zamilkła, bo jej tchu brakło.

Kazio cierpliwie wysłuchał tej słów nawały, a pan Kasper, raz wyszedłszy z odrętwienia, stanął pomiędzy żoną a młodzianem i rzekł głosem silnym:

— Proszę cię, moja żono, ani słowa więcej: ty nie jesteś matką Zosi, ale jej macochą, rozumiesz, macochą! i nie masz prawa o jej losie stanowić. My mężczyźni potrafimy się rozmówić pomiędzy sobą.

Pani Salomea pierwszy raz widziała męża imponującym; zdziwiła się niesłuchanie i zamilkła jak głaz.

— Czego pan sobie życzy z jakiego powodu przychodzisz? zapytał pan Kasper Kazimira.

— Przyszedłem prosić państwa o rękę panny Zofii.

— Co? co? zawołał zdziwiony pan Kasper.

— Nieinaczej, powtarzam, przyszedłem prosić państwa o rękę panny Zofii, o oddanie mi waszego dziecięcia za żonę.

— Jako? wszakże ojciec pański tego sobie nie życzy, rzekł Kasper, a potem bardzo nam ubliżył, posadzając nas o niegodziwe intrygi.

— Oto, rzekł Kazio, wyjmując list zapieczętowany, przeprosiny i błogosławieństwo. Mój ojciec był w błąd wprowadzony przez jakiegoś Pana Walentego, który wasz dom zaczął przed nim oczernić. Czytaj pan.

Pani Kasprowa była jeszcze w złym humorze, ale ciekawość przezwyciężyła gniew; zbliżyła się więc do męża i rzekła.

— Czytaj, mój złoty Kasperku.

Pan Kasper obejrzał herbową pieczęć, potem poszedł do biurka, założył okulary, nożyczkami systematycznie przeciął kopertę i zbliżywszy się do lampy, zaczął czytać.

Szanowni państwo!

Nieźmiernie żałuję, że wprowadzony w błąd przez pana Walentego S., uchybiłem wam mocno. Proszę więc wybaczyć mi, tym więcej że jestem starcem i ojcem zasługującym na pobożanie.

Jakkolwiek miałem inne zamiary względem mego Kazimira, widzę jednak iż zaślubienie córki państwa jest do jego życia nieodbycie potrzebnym. Chciałbym, eżeli się do tego przychylicie, aby ślub odbył się jak najprędzej. O to proszę usilnie i udzielam synowi, w moim i żony mej imieniu, na ten związek błogosławieństwo. Proszę przyjąć zapewnienie szacunku.

Stefan N.

(Dodatek do Nru 221 Tyg. Ilustr.)

— To wcale pięknie napisany list, rzekła pani Salomea. I ja z mojej strony nie mam przeciwko panu Kazimirzowi.

— Za pozwoleniem, przemówił pan Kasper, ja pana Kazimira szanuję i z opinii ludzkiej i z poznania bliżej. Wiem że moja córka będzie miała w panu najlepszego opiekuna i męża; ale pan wieś, kochany konsyliarzu, że największa miłość o głodzie rychło się sprzeczka. Pamiętam ileśmy wycierpieli z nieboszczką żoną, kiedy był kancelistą. Przyszły choroby, zmartwienia, pochowaliśmy dwoje dzieci i zamartwiła się nieboga... Daruj mi pan, ja górno nie umiem mówić, ale czuję... Znam życie... I otarł łzę spadającą po wąsach.

— Mój kochany, rzecze pani Salomea, nie święci garnki lepią... więcej pan Bóg ma niż rozdał. Gdyby wszyscy czekali na pewny kawałek chleba, toby się i dziesiąta część ludzi nie żeniła... a zresztą pan niedługo zostanie doktorem, to i będzie więcej niż trzeba.

— Ja zawszębym wolał, odparł Kasper, żeby ślub odłożyć do czasu, gdy pan zostaniesz patentowanym doktorem. Co się odwlecze to nie uciecze. Pan młody, Zosia młoda, możecie kilka lat poczekać.

— Ja nie chciałbym naglić, ale taka jest wyraźna wola mego ojca, pod tym tylko warunkiem otrzymałem błogosławieństwo. Drodzy państwo, ja będę pracował, pracował usilnie, te kilka lat zbiegną, dobieję się stanowiska i da Bóg dostatek. Nie odmawiajcie mojej prośbie. Niema w tym nie złego, że nie odrazu będziemy się mieli dobrze. Szkoła ta nauczy nas przestawać na małym w przyszłości, kiedy przyjaźniejsze zaświeci słońce.

— Pięknie pan mówisz, rzecze pani Kasprowa, pięknie, jak z książki. Kasperku, nie odmawiajże mi! Wszystko u Boga, po co znowu kłopotać się zawczasu?

— Ha, niech się dzieje wola Boska? rzekł pan Kasper; niech was Bóg błogosławi, najukochańsze dzieci!

— No, chodźże tu Zosiu, rzekła macocha, prowadząc za rękę zapłakaną dziewczę. No moja Zosienko, nie gniewaj się na mnie. I tuliła główkę Zosi do ust, okrywając ją pocałunkami. Daruj mi, moja duszko... ty wiesz że jestem prędką, ale mam dobre serce i choć jestem twoją macochą, kocham cię Zosiu jak matka. Kiedyś, na swoim gospodarstwie, poznasz że moje ostre obchodzenie się wyszło ci na dobre.

— Kochana mamó, zawołała Zosia, ja do mamy nie mam żadnej urazy, ja mamę bardzo kocham. I rzuciła się matce na szyję.

— No, podajcież sobie ręce, kochane dzieci, rzekła uradowana pani Salomea. Tak... No cóż? jesteście szczęśliwi?

A Kazio pochwylił rączki Zosi, przycisnął je do ust i trzymał tak długo nieporuszenie, że aż pani Kasprowa zawołała:

— A dajżeż pan pokój, puść dziewczynę, bo jej pozjadasz ręce. Cóż Zosiu, pewnie ci się zabawnie wydaje, że cię ktoś w rękę całuje. A jak to patrzy ognicie pan konsyliarz... Mój Kasper nigdy na mnie takim wzrokiem nie patrzył... On tylko na swój dziennik umie patrzeć miłośnie. Ale czekaj pan, czekaj, przejdzie jeden i drugi miesiąc, potem i pół roku zleci, i przyjdzie do tego że jej pan i raz na rok nie pocałujesz.

I rozprawiła rozradowana kobięcina, a potok słów płynął jej z ust tak szybko, iż zdawało się że tchu nie stanie.

A Kazio szeptał i szeptał coś wciąż do uszka Zosi i czasem musnął ustami jej sploty, a dziewczę słuchało i uśmiechało się i już teraz nie spuszczało oczu, ale spoglądało na Kazia takim wzrokiem, że czasami tracił niemal przytomność i przerywał mowę.

Czas szybko ulata zakochanym. Wybiła godzina jedenasta.

— No panie Kazimirzu, do domu! zawołała pani Salomea, sprzątając herbatnicę i filiżanki. Nie chce się odejść, ha! ha! ha!... Pocałujże ją pan, no Zosiu, nadstaw czoła...

I Kazio, drząc ze wzruszenia, wycisnął pocałunek na jasnym czole Zosi; dziewczę zarumieniło się jak wiśnia i szepnęło:

— Do zobaczenia!

A pan Kasper tymczasem sztycował w dzienniku kaligraficznymi pociągami pióra:

Nr. 1889. Roku 1858, dnia 24 września, o godzinie 9 wieczorem, pan Kazimirz N. uczeń medycyny, oświadczył się o rękę mojej córki Zofii Ludwiki. Ślub ma nastąpić w jaknajkrótszym czasie, gdyż takie jest życzenie ojca narzeczonego, jak dowodzi allegat A. przy niniejszym numerze dziennika załączony.

XI.

Błogosławieństwo.

Cofnijmy się o jeden dzień wstecz i zerwijmy zasłonę kryjącą tajemnicę, w jaki sposób Kazio uzyskał pozwolenie ojca i wyjednał list pisany do rodziców Zosi.

Kazio był szalenicem, chwycił się zawsze ostateczności. Wymówienie mu domu przez Kasprową i postępek ojca przywiodły go do rozpacz. Widzenie się z Zosią rozmarzyło do reszty: Widział ją tak słiczną, tak zachwycającą, a tu piętrzyły się zawady.

Kilka słów o panu Tadeuszu, rzuconych pobieżnie przez Julkę, nieźmiernie zaniepokoiło Kazimira. Znał charakter rodziców Zosi, wiedział że nie wierzą w miłość silną i niepożyłą, wiedział że nie lubili słyszeć ludziom za przedmiot obmowy, wiedział że uważają pana archiwistę za osobę nierównie ważniejszą od niego i w końcu zmuszą córkę do zawarcia nienawistnego związku.

Znekany nawalem myśli i cierpienia, rzucił się na łóżko i przez godzinę zostawał w stanie zupełnego odrętwienia.

Wtém otworzyły się drzwi i wszedł ojciec Kazimira.

Rozprawa między ojcem i synem toczyła się przez trzy godziny bez skutku. Czasem wytrawny rozsądek ojca przemagał opór syna; czasami znów ogień Kazimira zwał jednym wyrazem rusztowanie mozołnie nagromadzonych dowodów. Nakoniec ojcu zdawało się że przekonał syna, gdyż Kazimirz milczał i już dalszej nie próbował obrony.

Pan Stefan zanocował u Kazia.

Nazajutrz z rana ojciec, przyzwyczajony do wczesnego wstawania, zerwał się równo ze świtem.

Kazio spał twardo.

Pan Stefan umył się, ubrał i z nudów począł przeglądać atlas patologiczny.

Kazio wciąż spał.

Ojciec przeglądając następnie różne przedmioty leżące na biurku syna. Roztworzył pudełeczko ozdobne, a ujrawszy w niem zeszlą różę, kawałek wstążki, skrawek *mousselin de laine* w zielone i białe kratki, rozśmiał się z politowaniem nad temi dowodami gorącej miłości syna, ale nie sztydził, bo sam przeżył kiedyś te same koleje.

Wybiła godzina dziewiąta... Kazio spał jeszcze.

— Mój panicz, rzekł sam do siebie pan Stefan, jak na zakochanego ucznia medycyny z piątego kursu, coś zadługo sypia. Lekcje kliniczne pewno się rozpoczęły, trzeba go obudzić.

Ale zaledwie przystąpił do łóżka, krzyk przerażenia wydarł się z jego piersi. Kazio miał cerę ziemistą, zimny pot wystąpił mu na czoło perłami, całe ciało drgało, jakby konwulsjami szarpane. Ojciec targnął go kilkakrotnie, podniósł z pościeli, ale Kazio na chwilę tylko roztworzył oczy, wybelkotał coś niezrozumiałe i znowu padł na poduszkę.

Pan Stefan obrócił się ku stolikowi, chcąc sięgnąć po wodę, i ujrzał małego słoi, jakimś proszkiem jasno brązowej-barwy napelniony. Chwycił go machinalnie, a na przyklepionej etykiecie przeczytał: „Opium pulveratum.“

— Otrul się! otrul! mój syn! mój Kazimirz! O ja nieszczęśliwy!

Brzęknął rzucony słoi, a starzec bez czapki, z rozrwanym włosem wybiegł na ulicę.

O kilka kroków mieszkał doktor W., znany już nam dobrze. Pan Stefan prawie bezprzytomny wpadł do niego i w kilku słowach bez związku opowiedział swoje nieszczęście. Za chwilę byli obadwaj przy ołtarzu. Użycie silnych środków, starania, młodość Kazia, odniosły zwycięstwo nad niedostateczną ilością trucizny.

Kazio odzyskał życie.

Podczas ratunku pan Stefan opowiedział doktorowi przyczynę zamierzonego samobójstwa. Doktor wysłuchał, a potem rzekł:

— I dlaczegoż pan nie chcesz zezwolić na ten związek?

— Znasz pan dobrze moje położenie. Na Kazimirzu spoczywa przyszłość mej rodziny, gdy mnie zabraknie.

— A czyż małżeństwo stłumi w jego sercu miłość ku rodzicom i poczucie obowiązku?

— Mógłby się korzystać ożenić, wziąć posag... dorzucił Stefan.

— Ja zaślubiłem biedną panienkę, rzekł zimno doktor, a widzisz że jestem bogaty. Majątek zawdzięcza niezmordowanej pracy i pocziwemu imieniu.

— Lecz te miłości przeszkadzają mu w nauce; głowę ma dziewczyna nabitą, ręce że rok straci na niczem...

— Widzę na to jeden tylko sposób, rzekł doktor. Jeżeli pan chcesz, panie Stefanie, żeby syn twój żył i oddał się z zapalem nauce, niech się żeni jaknajprędzej, choćby jutro.

Pan Stefan wzdrygnął się i zawołał:

— Jaktó? człowiek nieskończony, młokos bez kawałka chleba ma się żenić? Nie, to niepodobna!

— Słuchaj, panie Stefanie, znamy się nie od dziś; wiesz że cię szanuję i życzę ci dobrze jak własnemu bratu. Otóż rodzice dziewczęcia, są to ludzie dobrzy, zaci, ale nie lubiący żadnych półśrodków. Patrzą wprost przed siebie, a co się dzieje na boku, to ich nie obchodzi. Jeżeli synowi zabronisz żenić się teraz i każesz mu czekać aż otrzyma bilet doktorski, to macocha się uwinie i wypchnie pasierbicę za pierwszego lepszego. Jeżeli ją wyda za mąż, twój syn życie sobie odbierze, bo jak widzę zbyt jest namiętny i zabrnął głęboko. Wybieraj więc jedno z dwojga: niedorzeczność lub śmierć.

Pan Stefan zwiesił głowę i nie wiedział co odpowiedzieć.

— A zresztą, dorzucił doktor, wędrówka na świecie zbyt krótka, żeby ją goryczą zatruwać. Może przez jakiś czas dozna niedostatku, to nic nie szkodzi; młode barki zniosą ten ciężar, w twardej szkole wyrośnie na człowieka. Owszem, radzę ci przyspieszyć związek, a kiedyś mi podziękujesz.

— Czy tylko uratujesz mu życie, kochany doktorze? Robimy projekta nadal, a on walczy ze śmiercią...

— Będzie zdrow, trucizna usunięta, a to co weszło w organizm, zwyciężą środki zaradcze. Znać że ją dopiero zażył nad ranem, widzę to z symptomatów. Lecz jeżeli chcesz uzdrowienie przyspieszyć, dziś mu objaw, że na małżeństwo zezwalasz, to pokrzepi siły i da mu chęć życia.

Pan Stefan nie opierał się dłużej; miłość rodzicielska wydała wojnę rozsądkowi i zwyciężyła go.

Przed wieczorem doktor opuścił młodego kolegę, słabego wprowadzić, ale rozpromienionego szczęściem. Natarł mu porządnie uszów, ale z drugiej strony przynaglił Stefana do napisania wiadomego listu.

Starzec pisał machinalnie. Był tak wzruszony, że lubo dumny i nieugięty, błagał prawie o to, czemu się wprzód tak gwałtownie sprzeciwiał.

Kazio, acz osłabiony, uprosił ojca, aby mu dziś jeszcze pozwolił iść do Ludwińskich.

Byliśmy świadkami tych odwiedzin i szczęścia Kazia. Wróciwszy, mimo spóźnionej godziny, zastał jeszcze czekającego nań ojca, rzucił mu się do nóg i dziękował za jego dobroć.

A ojciec tulił głowę syna do piersi i za tyle zwichniętych zamarów, za tyle zniweczonych nadziei, za tyle cierpień, które mu zrządził szalony postęp syna, jedyną mu rzucił wymówkę:

— Kaźmirzu, czy godziło się tak ojca zasmucać? Przyjacielu mój! Synu! Myślałem że mię więcej kochasz.

XII.

Ślub.

Było to dnia 25 listopada 1858 r.

W kościele parafialnym św. Mikołaja gromadka ludzi czekała na obrzęd ślubny. Skromny ten kościółek ma pozór wiejskiej parafialnej świątyni; w nim nieraz Kazio, bywając na nabożeństwie z Ludwińskimi, modlił się gorąco, prosząc Boga o spełnienie swych najgorętszych życzeń. Dzisiaj życzenia te miały być za chwilę spełnione.

Na dworze dał wicher jesienny, a deszcz bił o szyby okien kościelnych. Przed ołtarzem wielkim wstał siedzieli Ludwińscy, rozweseleni blizkiem szczęściem Zosi; nieco dalej Stefanowie. Twarz ojca jaśniała wesołością i swobodą, bo dusza cofnęła się wspomnieniem o 30 lat w tył, przywołując obrazy minionych chwil młodości. Raz zezwolił i pobłogosławił związek syna, więc teraz pragnął jaknajprędzszego zawarcia ślubu. Pani Stefanowa była blada i cierpiąca; nie mogła pogodzić się z myślą tego małżeństwa. Wola jednak męża była dla niej świętą i sprzeciwiać się jej nie śmiała, wiedząc napróżd że wszelki opór na nic się nie zda. Z niechęcią patrzyła na przyszłą synową; wdzięk i niewinność Zosi nie robiły na nią wrażenia. Trzeba było czasu, żeby się przekonała że kochane dziewczę nie na wstręt, ale na macierzyńską miłość zasługuje. Siostra Kaźmirza, choć była družką, podzielała uczucia matki.

Opodal stała niewielka liczba gości zaproszonych na obrzęd weselny: państwo Kleofasowie z córkami, które także były družkami, i pan Tadeusz wyfrakowany, wyfryzowany, wyperfumowany, z białym dużym fontaziem u chustki na szyi, i ksiądz Norbert, który miał ślub dawać, ale przez niefortunne swaty stracił względy Kazia i musiał poprzestać na nadziei

dobrego śniadania, popłukanego węgrzynem. Był nawet pan Walenty, ale stał na boku i nie wiedząc że się jego oszczerstwa wydały, dziwił się niezmiernie, że go nie zaproszono i czekał, rychło zapomnienie naprawia.

Kazio w skromnej czamarze czarnej dobrze wyglądał; wzruszenie tylko zdmuchnęło z twarzy jego rumieniec. Nadeszła chwila spełnienia marzeń: upadał prawie pod brzemieniem szczęścia.

Zosia była nadzwyczaj wesoła. Mimo uszanowania dla miejsca świętego, wpojęnego jej od dziecka, nie mogła wstrzymać uśmiechu; szebiotała z družkami, a złośliwa Julka wciąż jej wskazywała wystrojonego pana Tadeusza, namawiając żeby zamiast z Kaziem, z nim do ołtarza stanęła; potem skinęła na starego Adonisa, a gdy się przybliżył, Julka rzekła:

— A pfe, panie archiwisto, czy to pięknie pozwolić sobie zdmuchnąć żonę z przed nosa, a jeszcze taką śliczną żoneczkę? O patrz pan, jak jej cudownie w tym mirtowym wianeczku.

— Widzę, nawiasem mówiąc, rzekł pan Tadeusz, że cudownie. Ale cóż robić, mociumdzieju? Starszy zawsze młodszemu ustąpić musi. To mię tylko w mojej konfuzji pociesza, że nawiasem mówiąc, panna Julia nikogo nie wybrała i może ja będę tak szczęśliwym, że mi wynagrodzi moje dymisy którą od panny Zofii otrzymałam, i wyręczy w małżeństwie.

Julka tak głośnym wybuchła śmiechem, że się wszyscy spojrzeli, a pan Tadeusz skonfundowany, ukrył się w bocznej kaplicy.

Któżby powiedział, że Julka za rok zostanie panią Tadeusową? a jednak tak się stało.

Tymczasem organ zahuczał Veni Creator, wszyscy zwrócili się ku wielkiemu ołtarzowi i ukazał się ksiądz Wojciech, wikary, kolega szkolny Kazia, przybrany w kape.

Państwo młodzi przyklekli na stopniach.

Zosia wyglądała tak pięknie, że szmer pochwalny rozległ się po całym kościele; odzianą białą sukienką, z długim woalem spadającym z mirtowego wianka, brakowało tylko skrzydeł, aby przedstawiała istny obraz anioła.

Obrzęd się rozpoczął, po krótkiej przemowie ks. Wojciech zapytał:

— Kaźmirzu, czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąć za żonę tę Zosią, którą tu przed sobą widzisz?

Kaźmirz stracił prawie przytomność i ledwie zrozumiałym wymówił glosem: Mam!

Zosia nierównie śmielej odpowiedziała. Puszczać się nową ścieżką życia, nie wiedziała jakie na niej spotkać może zawady; ale wiedziała że się wydobywa z pod żelaznej ręki macochy, że będzie gospodynią, że będzie sama sobie wyznaczała zatrudnienia, a na koniec że jej Kazio będzie znosił ciasteczka i owoce, które bardzo lubiła, a których w domu raz na rok tylko w swoje urodziny używała, bo macocha, opychając nimi Julka i Stefka, nigdy ich nie dawała Zosi.

Podczas ślubnego obrzędu, Zosia rozmyślała nad tem, że jej czepczek włoży i szukała sposobów jakby się od tego wykreć.

Nie dziwcie się Zosi, miała dopiero lat 16 i dwa miesiące.

Kazio był niezmiernie wzruszony i szczęściem osiągnięciem, i błogosławieństwem rodziców, które idąc do ślubu na kłęczkach odebrali, i teraz dopiero zaczął rozmyślać, jak zaspokoi przy swoich szczupłych dochodach wszystkie domowe potrzeby. Wciąż mu brzmiały w uszach słowa ojca:

„Kto nie ma stałego utrzymania, o małżeństwie myśleć nie powinien, jeżeli pragnie szczęścia tej którą kocha, jeżeli jest uczciwym człowiekiem.“

I dlatego to Kaźmirz tak niewyraźnie wymówił słowa sakramentalne.

Obrzęd się skończył. Kazio i Zosia byli małżonkami.

(Dokończenie nastąpi.)

Antoni Malecki.

Szkic biograficzno-literacki.

(Dokończenie).

Podanie historyczne, na którym Malecki osnuł swój *List Żelazny*, wyjęte jest z opowiadania pana cześnika parnawskiego w *Pamiętkach Soplicy*, a dramatyzując je, co zresztą bynajmniej na niekorzyść jego zmysłu inwencji nie przemawia, z wyjątkiem kilku figur podrzędnych, z wyjątkiem oraz zakończenia, które w *Soplicy* nierównie jest naturalniejsze i mniej wygląda na naciągany fatalizm, poeta samej treści w niczem prawie nie przeistoczył. Mniemamy, że od przytoczenia tej treści uwalnia nas tutaj niemal pe-

wność, że mało jest takich czytelników, którymby utwór ten dostatecznie już nie był znanym. W każdym razie przedmiot bezwątpienia dosyć był dramatyczny, szło tylko o związanie go, czyli raczej o wykazanie ukrytych sprężyn, które czynami głównych postaci kierują.

Za najważniejszą z tych postaci, zdaniem naszym, uważaćby należało Martę, ową mamkę krajczego, która sama zeznaniem swoim zawiązuje cały węzeł dramatyczny i wokół której przez cały ciąg sztuki interes tragiczny najwyraźniej się skupia. Ale podczas gdy w *Pamiętkach Soplicy* owa mamka nawiasem tylko jest wspomniana, wolelibyśmy w tragedji widzieć ją otoczoną aureolą macierzyństwa i z podobek czysto szlacheckich wyrwającą swego syna, chociażby kosztem mniemanego szczęścia, z groźącą mu podług niej np. dusznej zaguby, aniżeli ciemną niewiastę, której pierwsze już wystąpienie budzi w nas raczej wstręt, niż pobłażliwość. Czyż podobna bowiem wyobrazić sobie matkę, która mając syna swojego stracić ze szczytu, na jaki go własną swoją zbrodnią wyniosła, sucho i ozięble takby się o nim wyrażała:

Takie, jak slysze, dzierzy dostojenstwo
Dziedzic i syn mniemany państwa onych,
On jest tém dzieckiem, co zamiast pańskiego
Od chwili owęj chowało się w dworze,
On, po ze świata zejściu jegomości,
Wziął ojcowiznę po nim jako dziedzic.

Scena w więzieniu, w której krajczy nakłania Martę do cofnięcia zeznań, jeszcze nas nie godzi z tą przesadną ciemnotą, której nawet instynkta miłości nie oświeca, — i chyba dopiero jej śmierć, zręcznie przez poetę umysłowioną pod postacią zakonnika, który podczas obrzędu ślubnego, kłęcząc przed kaplicą, zanosi do Przedwiecznego modły umierającej za szczęście jej dzieci, ta dopiero śmierć przypomina nam, czemu mógł być ów charakter, gdyby od samego początku w wewnętrznej jedności był pojęty.

Na pierwszym planie w tragedji swojej chciał Malecki niewątpliwie postawić figurę pana krajczego, a jednak ze wszystkich jest ona najmniej ściśle odgraniczoną i wydatną. Nie przeczymy, że głębokiego potrzeba psychologa, by logicznym myśleniem i czuciem powiązać owe sprzeczne rezultaty akcji; coż dopiero, gdyby tym rezultatom chcieli podłożyć pobudki szlacheckie i wielkie? gdyby nie prąd konieczności, ale zasada wyższa i święta, zmusiła go spuścić topór kata na głowę grzesznej wprowadzić, lecz miłującej matki? Sądźmy że warunek podobny nie byłby nawet zbyt trudnym do spełnienia; jakoż ze zbytęzną, jak na ten raz, pobłażliwością, dopatrzył go się nawet w *Liście Żelaznym* p. A. A. K., krytyk *Biblioteki Warszawskiej*, czyniąc postanowienie krajczego zależnym od względów na zamierzone reformy krajowe; — my wszelako na charakter ten zapatrujemy się wcale inaczej i jedną z najważniejszych widzimy w nim chyb całego dramatu. Krajczy do tego stopnia owszem waha się pomiędzy złem a dobrem, że do ostatniej chwili nie przewidujemy stanowczego rozwiązania tej jego wątpliwości, albo raczej nie waha się nawet, bo widocznie złego od dobrego odróżniać nie chce czy nie umie. W scenie, gdy powróciwszy ze stolicy, zapytywany jest przez starostę, czy podróż odniosła upragniony skutek, krajczy odpowiada *obojętnie i sucho* (jak objaśnia autor):

Nie była daremna,
I bez wahania dał król o com prosił; —

tak jak poprzednio sam zapytuje z *obawą* (znowu według wyrażania autora), czyli Marta istotnie skazana jest na śmierć? Błąkamy się tu myślą pomiędzy dwiema możliwościami: albo krajczy przywiózł list żelazny już w zamiarze niekorzystania zeń, albo obawiał się następstw złożonej w swe ręce władzy. Ostatni ten domysł wydaje nam się nierównie poetyczniejszym, a usprawiedliwia go poniekąd późniejszy monolog po otrzymaniu poselstwa królewskiego; ale w takim razie należało przedewszystkiem użyć, czy on istotnie wierzy zeznaniu Marty, lub czy w własnym przekonaniu ma się za prawdziwego Ciechanowieckiego? Walka pomiędzy jedną wątpliwością a drugą, która w komedji dałaby może powód do licznych powikłań drastycznych, w tragedji nie jest na poważnej wysokości sztuki; w samej rzeczy bowiem i w obec wewnętrzznego znaczenia ludzkiego, bardzo mało na tem zależy, czy Roman jest synem szlachcianki, czy włościanki, byle tylko godność człowieka odezwała się w nim stanowczo i raz na zawsze, byle zwłaszcza wyrwał się o własnej sile z przesady, który wprowadzić może go stracić

napowrót w pierwotną niskość, ale któremu nigdy już nie pozwoli zetrzeć ze swej duszy nabytego przez nią piętna wolności i prawdy.

Tak więc postać krajczego, zostająca nierozwiązaną dla nas zagadką psychologiczną, nie wyrasta do godności charakteru bohatera tragedii. Jeżeli bowiem energia ducha w takiej postaci nie napina się na wysoki nastrój własnym popędem wewnętrznym, — jeżeli logiczne następstwo faktów ulega przerwie skutkiem jednego, nie dającego się logicznie wytłumaczyć przewrotu, — wówczas powstałe ztąd, chwiejne tło obrazu może wprowadzić nadac się do efektownej jakiejś melodramy, ale rzeczywistości nie podniesie w ideał, ale nie podeprze zupełnej wolności ducha, owęj rozumnej świadomości siebie, silniejszej nad wszelkie pokuszenia bezrozumnego oporu materii. Skutek taki w tragedii, naszym zdaniem, wówczas tylko da się osiągnąć, skoro i cierpiący i sprawca cierpień nie wzbudzają w nas ani nienawiści, ani pogardy, skoro owszem ten sprawca, wbrew własnej skłonności, z przymusu cudze sprowadza nieszczęście. I tak np. szczególną jest zaletą w *Ifigenii* Goethego, że król tauryjski, jedynie stojący na przeskodzie życzeniom Oresta i jego siostry, nigdy nie traci naszego szacunku, a w końcu nawet zmusza nas do podziwu. Tam przeciwnie, gdzie poeta tragiczny nie może się obejść bez zbrodniarza, gdzie zmuszony jest wielkość cierpienia wyprowadzać z wielkości bezceństwa, tam doskonałości swego dzieła, bo tragicznemu zeń zadowoleniu, największą sam wyrządza krzywdę. Jago i lady Macbeth Szekspira, Kleopatra w *Roksolanie*, Franciszek Moor w *Rozbójnikach*, tyłomaż są dowodami prawdy tego twierdzenia, — a jednak wyznajemy bez ogródki, że stokroć jeszcze wolimy takich bohaterów skończonych w złem, pobudzających serca nasze do silnej nienawiści, aniżeli istoty amfibijne, co żadnego prawie innego, oprócz pogardy i wstrętu, w nas nie wznecają uczucia. Zapewne ze krajczy, by wywołać podobne wrażenie, nie potrzebował, nie powinien był występować przed nami w roli takiego zbrodniarza; — sam wątek sztuki (a w tym szczęście poety) niekoniecznie go do tego obowiązywał; — ależ w takim razie dlaczego autor nie uzupełnił tego charakteru w kierunku przeciwnym? dlaczego zeń nie zrobił postaci, którąbyśmy szczerze mogli i kochać i szanować? Wprawdzie tu i owdzie napomknienia o zamiarach dla dobra kraju, o wielkich, daleko sięgających planach, zmierzają widocznie ku temu celowi; lecz powiedzieliśmy już, że są to napomknienia zbyt szkiełkowe, które tém samém do zaokrąglenia całego charakteru wcale nie przyczyniają się.

Nierównie udatniejszą jest postać starosty; ponieważ nawet twierdzić nie wahamy się, że wygląda jakoby na najpięrszą w tej tragedii. Starosta od początku do końca utrzymany jest w jednostajnej sile: głęboka rozważa, rzewne uczucie dla swoich i gorące przywiązanie do ojczyzny, przy szczerzej uczuciowości zasad, przy nieudaną pojęciu obowiązków chrześcianina i obywatela, znamionują piękny ten charakter. A obok tego starosta jest postacią wysoce tragiczną. Mimowolna walka, w jaką wpada sam z sobą, sprzeczność ojca i sędziego, obywatela kraju i kastowego szlachcica, sprawia wrażenie prawdziwie wzniosłe i tragiczne, a sympatyzujemy z tą walką tém bardziej, ile że w niej górę bierze nie kasta, ale człowiek. Jakże wyrazistym jest np. ów monolog w scenie 4 aktu III, kiedy spowiada się z pobudek, nakłaniających go do popierania krajczego.

Śmierć starosty na wiadomość o popełnieniu przez krajczego zbrodni, sama przez się wprawdzie nie jest nienaturalną, ale jednak jako efekt zbyt przewidzianą, jako przygotowaną z góry następstwo zbyt efektowną. Powtarzamy przecież, że w charakterze starosty spoczywa punkt kulminacyjny *Listu Żelaznego*. Córka jego Helena, oprócz Marty jedyna postać niewieścia w całej sztuce, nie podwyższa wyobrażenia, jakie nam tamta, w zarodzie chybiona figura, daje o pojęciu przez Małeckiego kobiety, a zwłaszcza kobiety Polki; nie wiedzieliśmyby doprawdy, pod jaką w tej mierze podciągnąć ją kategorią, taka w niej nieraz sztywność, takie wymuszenie.

W kilku drugorzędnych charakterach, mianowicie w Rebajle i w marszałku starosty, panu Adamie, szczęśliwsze za to mamy typy postaci prawdziwie narodowych. Gdyby nie oni i gdyby nie sam starosta, charakter całej tragedii byłby wiele utracił na kolorystyce, nawet na świeżości; w nich też głównie upatrujemy przygotowawcze jakoby przejście do znacznie już wybitniejszej komedii narodowej, którą nas w rok później (1855) Małecki w swoim *Wieniu Grochowym* obdarzył.

Któżby, z ceniących ojczyste piśmiennictwo, nie znał i nie miłował zarazem wybornego, a w tak do-

kładnym oświetleniu jedynego niemal u nas postaci zanego towarzysza chorągwi pancerniej, pana Paska Jana Chryzostoma? Stanowisko jakie zajął ten prawdziwy szlachcic i rycerz polski, dziarski a zalotny, poważny a dowcipny, prawy a przebiegły, potulny a butny, na długo jeszcze w literaturze naszej zostanie typem, w którym odbijają się jeden po drugim wszystkie tak odrębne, a jednak tak niezaprzeczenie z sobą związane odcienie charakterów jedrnie-kontuszowych. Boć to niedosyć przyzwać się w kontusz i zarzuciwszy w tył wyloty, jedną ręką pokrecać wąsa, drugą zatknąć za pas lity, jeżeli... ten wąs jedynie przyprawny, jeżeli... ta ręka miękka i do szczerzego uścisku dłoni bratniej, równie jak do władania kordem niezdolna. Szczęśliwy to więc z jednej strony, lubo z drugiej hazardowny był pomysł poety, uczynić tego Paska bohaterem komedii, boć on, jeżeli sam przez się nie jest jeszcze figurą historyczną, jednakże z naturalnej konieczności na całym swém otoczeniu niewątpliwie historyczne wyciska piętno; — zaś im jaśniejsze z Pamiętników Paska mamy pojęcie o nim samym i o współczesnych mu ludziach, tém więcej sąd nasz musi być wymagający. Szło tu prócz tego o spełnienie innych jeszcze warunków dobrej komedii, które, jak wiadomo, dosyć są liczne, a którym bezwzględnie sprostać także nie tak bardzo jest łatwem.

Jakoż w samej rzeczy z pojedynczych ingrediencji niekoniecznie bezużytecznych, mamy w *Wieniu Grochowym*, (którego treści podawać tu również nie będziemy) dość luźny i podejrzaną nawet autentyczności obraz domowego pojęcia szlacheckiego, z czasów panowania króla Jana Kazimierza. Ale gdyby ten obraz był nawet stokroć spójniejszym, gdyby wiarygodność jego żadnej nie podpadała wątpliwości, jeszcze go to nie podniosło do godności komedii historycznej. Duch wynalazczy poety szczerzej wprowadził tu sobie poczynił, niż w *Listie Żelaznym*; wątek intrygi osnuty został na mało znaczących napomknieniach o dziwnym wstąpieniu Paska do kobiet stanu wdowiego, o jakiejś niby zawiści dwóch prowincji, Mazurów i Krakowian, która w każdym razie w przeszłości naszej tak arcyńwinnie zajmowała miejsce, że dziś już zupełnie prawie się zatarła. Nie brak też na niezbędnych przydatkach w tego rodzaju obrazach, na burdach z szablą lub z kielichem w rękę, a wszystko to razem nie jest pozbawione humoru i życia; — są to jednym słowem, jak powiedzieliśmy, ingrediencye do utworzenia komedii niekoniecznie bezużyteczne, — ale pomimo tego z tej mieszaniny nie wyrosła jeszcze prawdziwa komedia historyczna.

Czy są w ogóle ważniejsze jakiegobądź warunki, w których tragedia i komedia historyczna schodzą się z sobą? Są bezwątpienia. Do jednej, jak do drugiej, tak samo jak i do powieści dziejowej, potrzeba przede wszystkim *osób historycznych*. Jeżeli zaś utwór taki, oprócz zwykłego swego zadania, polegającego na najżywotniejszym przedstawieniu danej jakiejś epoki, uwydatnić ma zarazem w sobie charakter czysto narodowy, naówczas niedosyć żeby jedną z działających w nim figur był charakter znany w historii, — naówczas potrzeba, iżby ten jeden, lub więcej podobnych charakterów, na koleje swego narodu istotnie przeważne wywierały wpływy. Mówiąc innemi słowy: *w dramacie historycznym rozwijać się powinna w naszych oczach historia*. A nie sądzicie, byśmy takim określeniem zbyt małe pole działalności zostawiali poecie: — jeżeli bowiem już historyk, jednym tylko wier-nym odtwarzaniem faktów, umiejętnym ich pomiedzy sobą spajaniem, nadewszystko zaś wydobyciem na jaw myśli głównej, która całemu rozwojowi dziejów przewodniczy, najdzielniejszym stanąć może artysta, cóż dopiero powiemy o dramatyku, którego intencja nietylko na drobnych szczegółach olbrzymie wykazuje rysy, ale sama tworzy i jedne i drugie, byleby z całością czasu i narodu w nieprzerwanej zostawały harmonii? W komedii historycznej nie idzie tu zresztą bynajmniej o rzeczywiste zdarzenie, na którym treść akcji powinna być osnuta, — więc powiemy, nie idzie nawet o to, by postacie historyczne do niej wprowadzone, same były współdziałającymi, byleby tylko duch ich przenikał całość utworu, (przypominamy w tej mierze *Obóz Wallensteina* Schillera, a nawet *Prolog do Barbary* Odyńca), byleby sam sposób powiązania faktów dokładne dawał wyobrażenie o ukrytych przed pospolitem okiem działaczach.

Przykładając *Wieniec Grochowy* do skali takich warunków, wyznać należy, że Małecki zamiast komedii, dał nam w nim tylko obrazek obyczajowy z właściwej epoki, lubo nie przeczymy, że i taki obrazek może mieć wielkie swoje zalety, gdyż i on przez wierne odbicie charakterystyki jakiego okresu,

uwydatnić może głębsze jego znaczenie. Mniemamy wszelako, że i z tej strony niejedno jeszcze możnaby *Wieniu Grochowemu* zarzucić. Wspominaliśmy o ingrediencyach, których dziwne poniekąd połączenie składa się na całość tego dzieła, albo raczej na pozorne powikłanie go; gdyby zaś ktokolwiek, przeszłości naszej mniej świadomy, chciał według nich dokładać sobie o niej utworzyć zdanie, nie sądziłoby, iż najwydatniejszą tej przeszłości stroną był antagonizm jednej ziemi, jednej części kraju przeciwko drugiej? A przecież nie byłoby zdania fałszywszego na świecie. Ktoby charakter owęj epoki zasadzał na drobnych szlacheckich emulacjach, na podobnym rozdwojeniu, jakie w jednym i tém samém mieście panuje niekiedy pomiędzy mieszkańcami jednej dzielnicy a drugiej, — tam zaś gdzie idzie o uwydatnienie tego charakteru, wykończal obraz grubo nakładanymi farbami bijatyk i pijatyk, ten, zdaniem naszym niezbyt szczęśliwie usiłowałby wznowić ową przebrzmiałą już na szczęście modę, która wiecznie tylko *ujemną* stronę naszej przeszłości na plac wyprowadzała. Był czas, kiedy na wiarę tych ujemnych obrazów, wielka massa czytającej publiczności ze wstrętem odwracała się od własnej historii, albo kiedy winą ojców zastawiano się tam, gdzie winą ciążyła samych już potomków. Szczęśliwym przewrotem kierunek ten ustał w naszym piśmiennictwie; wystrzegajmyż się tedy, choćby najmimowolniej, od wskrzeszenia go! Boć że i ze strony Małeckiego nie było w tej mierze rozmysłu, dowodem tego cała zaność jego tendencji, dowodem sam *List Żelazny*, gdzie powaga koturnu nie zniżała się do efektów burdowych i gdzie pewna czystość moralna przewiewa przez różnostronne pojmowanie nawet zbrodni. Tém gorzej wprawdzie, jeżeli w komedii, która bezpośrednijszym jeszcze powinna być odciskiem natury, która może być przeznaczoną nawet do działania na większą massę publiczności, względ ten zupełnie został zaniedbany. Bije się Pasek z wojskiem, bije i kłóci się z Żelewskim i Kardowskim, bić się i kłócić gotów z przyjacielem Oltarzewskim, a te wszystkie burdy w niczem bynajmniej nie przyczyniają się do oświetlenia jego indywidualnego charakteru; — raczej uważać je należy za ozdobę niby potrzebną całemu rodowi ówczesnej szlachty i rycerzy. Ileż to innych, a tak łatwo ująć się dających skarbów gorącego narodowego uczucia spoczywa w tegoż samego Paska wybornych Pamiętnikach!

Pisząc to wszystko, nie lękamy się zbyt surowym może sądem wznieść niewczesną drażliwość poety; Małecki nadto wytrawnym jest pisarzem, zanadto zwłaszcza przejętym godnością kapłaństwa poetycznego, iżby zdanie otwarte i życzliwe przypłacił nas mogło w jego oczach o podejrzenie, jakobyśmy popisali się chcieli z owym duchem czernienia i przeczenia, który wielu dziś u nas wyłącznie za krytykę uważać przywykło. Nie lękamy się tego tém bardziej, ile że skwapliwie wyznajemy, iż pierwotna myśl autora, lubo błakająca się tu i owdzie pomiędzy dramatyczną akcją a rozwlekalszym opisem, obrobiona jest niemal wszędzie z owym rozmiłowaniem w przedmiocie, które w dziełach sztuki samó jedno przeważnie już dowodzi znamienitego talentu sztukmistrza. Obok tego pod względem formy zewnętrznej, której zaprawdę, zdaniem naszym, nigdy zbyt wysoko ocenić nie można, poeta w obu swoich utworach dramatycznych nic prawie nie zostawił do życzenia, chętnie bowiem z nim na to zgadzamy się, że wiersh, a zwłaszcza biały, najwłaściwiej zastosować się daje do tragedii, — proza do komedii. Język jest w nich męzki, czysty i dzwiczny, styl szlachetny i jasny, dowcip nieraz ostry i jedrny; wersyfikacja zaś miejscami tylko nie pokonywa trudności, od słabo dotąd rozwiniętej metryki naszej prawie zawsze jeszcze nieodstępnych.

Pochlebny rozgłos, jaki pozyskał Małecki w większym kole całej czytającej publiczności polskiej od pierwszej niemal chwili pojawienia się *Listu Żelaznego*, nie uchronił go od dekretu ministerstwa, którym pod koniec 1854 roku najcelniejsi profesorowie polscy: Helcel, Wincenty Pol, Zielenacki i Małecki, oddaleni zostali od obowiązków. Małecki osiadł w Poznaniu i tu już podał do druku *Wieniec Grochowy*; wkrótce atoli rząd austriacki ofiarował mu katedrę filologiczną w akademii inspruckiej, zkad po krótkim pobycie, w 1856 roku przeniesiony został na posadę profesora języka i literatury polskiej do uniwersytetu lwowskiego. Rzecz można, że tu rozpoczął się nowy okres w działalności literackiej Małeckiego, niemniej wprawdzie zaszczytny i pożyteczny, ale dotąd przynajmniej zawadzający niecierpliwie i słuszne oczekiwania tych wszystkich, którzy po tak świetnych zaczątkach, przeczuwali w nim najdzielniejszą podporę sceny narodowej. Wprawdzie w *Kół-*

ku *Rodzinie* z 1860 r. drukowaną była scena z nowej tragedii Małeckiego p. t. *Jadwiga*; resztę tego dramatu atoli, dla niewiadomych nam powodów, autor zniszczył i odtąd rzeczywiście zajął się prawie wyłącznie pracami zostającymi w bezpośrednim mniej więcej związku z przedmiotami przezeń wykładanymi, to jest z językiem ojczystym i jego literaturą. Kierunek ten pracy nakreślił sobie już poniekąd Małeczki w *Prelekcji wstępnej*, od której kursa swoje we Lwowie na rok uniwersytecki 1856/7 rozpoczął, a z której ustępy drukowane były w *Czytelniku dla młodzieży*, wydawanym tamże pod redakcją Karola Cieszewskiego. Jednocześnie bowiem szczegółowe z dziejów naszego piśmiennictwa opracowywał okresy i osobistości, jak np. do *Biblioteki polskiej* Turowskiego ułożył wybór mów świeckich, sejmowych i innych, wraz z obszerną w tymże przedmiocie rozprawą wstępną, zaś w *Czasopiśmie Ossolińskich*, w poznańskim *Tygodniku literackim*, a ostatnio w *Książce zbiorowej* ofiarowanej w 1862 r. Każ. Wład. Wójcickiemu, drukował ustępy z obszernego dzieła *O życiu i pismach Juliusza Słowackiego*, mającego wkrótce podobno wyjść na widok publiczny, nakładem księgarza Wilda we Lwowie. Autor pracą tą przedsięwziął zapelnąć próżnię w dziejach ostatniej epoki naszej literatury, korzystając pod względem biograficznym ze zbioru korespondencji Słowackiego z matką i z innymi osobami, którą mu szczęśliwe okoliczności do rąk podały; drugą zaś, niemniej ciekawą stroną tej książki, będzie wyczerpujący rozbiór dzieł genialnego poety, którym Małeczki oddawna już się zbliżka zajmował. Obok tych prac monograficznych, przysposobił również do ogłoszenia trzy tomy *Prelekcji o literaturze polskiej*, rzecz, o ile nam wiadomo, opartą na sumiennem waikanu w źródła, z poglądem wyrobionym własnymi studiami, do których pożądaną podawały mu sposobność bogate księgozbiory Ossolińskich, Dzieduszyckiego, Pawlikowskiego, owe na długo jeszcze przedmioty zazdrości dla mniej korzystnie uposażonych w tej mierze uczonych warszawskich. Nie wiemy wprawdzie, jak rychło autor zamysła dzieło to wysunąć na widok publiczny, nie śmiemy go nawet o to naglić, a liczymy tylko, że kiedykolwiek się pojawi, zawsze z wdzięcznością zostanie przyjęte.

W bieżącym roku Małeczki wszystkich znów oczy zwrócił na siebie wydaniem *Grammatyki języka polskiego*, pracy przez stany krajowe galicyjskie w 1845 roku zażądanej, a w 1863 r. przez wydział sejmowy uwiecznionej nagrodą. Bez ogródkki powiemy, że jest to najpiękniejsza polska grammatyka, zasługująca rzeczywiście na to nazwisko, najpiękniejsza oparta na historii samego języka, na jego powinowactwie z innymi słowiańskimi, na ogólnych i wiecznotrwałych zasadach grammatyki powszechnej, a więc zarazem na analogii z narzeczami innych plemion rodowych, — najpiękniejsza obywatelska się bez dziwolągów i mrzonek, poważna, trzeźwa, dowodząca na każdej niemal karcie obszerną, a przecież niepretensyjną erudycją. Cała mianowicie część o głoskach (*głosownia*) jest arcydziełem w swoim rodzaju. Toż samo powiemy o *składni*; mniej o odmianach słów (*konjugacji*). Naukę języka dziełem tym posunął autor naprzód niezmiernie; stworzył w niej metodę historyczno-porównawczą, która u innych narodów oddawna już wprawdzie istniała, ale do uchwycenia której żaden z pracujących dotąd u nas nad tym przedmiotem pisarzy dosyć wszechstronnie nie był wyposażony. Z obcych stanął mu na takięj drodze przewodnikiem i wzorem najznakomitszy po dziś dzień badacz filologii słowiańskiej, professor Franciszek Miklosich, którego zasady, jako podstawę nową polskiej grammatyki, rozwinął umiejętnie Eugeniusz Czerkawski, wizytator szkół publicznych w Galicyi. Naród instynktem przeczuł ważność tej nowej pracy Małeckiego i od pierwszej zaraz chwili, jeszcze zanim krytyka sąd o niej wydać zdołała, nadał *Grammatyce języka polskiego* znaczenie zjawiska. Dwie wydane na raz edycje (obszerniejsza i ściśnięta) natychmiast prawie zostały wyczerpane, a teoretyk lingwistyczny dziś tym samem cieszy się uznaniem ogółu, jakiego przed niezbyt dawnym czasem używał poeta dramatyczny.

Kończąc niniejszy nasz artykuł, czujemy się w obowiązku szczerze tu jeszcze wyrazić życzenie, iżby sukcesy filologiczne nie odwracały na długo zdolności poetycznej Małeckiego od popędu do twórczości i żeby, pomimo wielostronności talentu i jego kierunków, dwa piękne poemata, któremi nas dotąd obdarzył, osamotnieniem już swojem nie stawały za dówód, że nie przyjmując pielęgnowania dramy narodo-

węj za cel swojego żywota (lubo przed wieloma innymi był ku temu sposobny), dopatrywał się w niej raczej tylko chwilowej odprawy jakoby poważniejszych rozrywk.

Fr. Henryk Lewestam.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

18 grudnia.

Urządowa Dresd. Ztg. donosi, że państwa egzekucyjne wezwwały rząd duński w d. 12 b. m. aby w przeciągu dni siedmiu wycofał swe wojska z Holstynu. Jednocześnie z tem wezwaniem ruch wojsk niemieckich rozpoczął się i już w d. 14 Sasi przechodzili przez Berlin. Zdaje się więc że samo wkroczenie nastąpi w d. 19 lub 20 b. m. Co uczyni Dania? czy cofnie się istotnie za Eiderę, czy bronić będzie każdej piędzi holsteińskiej ziemi? Dzienniki angielskie zapewniają, że Dania nie stawia oporu, a optymizm ich tak daleko sięga, że nie wierzą nawet w egzekucję. Przewidywania te nie zgadzają się ani z namyślnem usposobieniem Niemiec, ani z wiadomościami odebranymi przez dzienniki niemieckie o uzbrojeniach duńskich. Dowiadujemy się że w ostatnich czasach armia duńska postawiona została na zupełnie stopie wojennej, że pułk za pułkiem ciągnie do Holstynu, kędy lazarety, piekarnie polowe i t. p. rozmnażają się z dniem każdym. Na rozstajnych punktach kolei żelaznej do Rendsburga, Kiela i Altony, koło Neumünster Duńczycy spiją szanice obronne, nie zapominając także o silnem fortyfikowaniu Seidbergu i Olderlo. Wyznac należy wszakże, iż wszystkie te środki obronne nie są jeszcze dowodem stanowczym, aby Dania w samym Holstynie opierać się zamierzała. Położenie rządu nowego króla istotnie jest bardzo trudnem. Po oświadczeniu cesarza Napoleona, że kwestya księstw jest kwestyą niemiecką, po niedościę do skutku przymierza skandynawskiego, Dania liczyć może tylko na pomoc Anglii, a ta doradza ustępować Związkowi niemieckiemu w najważniejszych punktach. Z drugiej strony opinia publiczna tak jest przeciw Niemcom roznamietniona, że gabinet nie może jej w swych działaniach pomijać. W takim stanie rzeczy gabinet duński waha się i powstrzymuje od wszelkiego stanowczego kroku. Mówiono wprawdzie o zawieszeniu konstytucji z d. 18 listopada i dymisji ministrów Hall i Orla Lehman, ale wieści te nie sprawdziły się dotąd. Zdaje się że rząd duński oczekuje przybycia do Kopenhagi generała Fleury, adjutanta cesarza Napoleona, wysłanego do króla Chrystiana z poufną misją. Cel tej misji w najgłębszej dotąd pozostaje tajemnicy. Interesa księcia Augusten-burga coraz gorzej stoją. Odepchnięty w Berlinie i Wiedniu, książę doznawał przynajmniej poparcia u mniejszych dworów niemieckich, dziś i te opuszczają go zaczynają. W Wejmarze zabroniono mu werbunków, a nawet komitety trudniące się zbieraniem składek na Holstyn zaczynają się wahać i wstrzymały wysyłanie pieniędzy dla księcia przeznaczonych. W ogólności cała ta sprawa tak jest zagmatwana, iż trudno domagać się wtku i przewidzieć wszystkie następstwa. W każdym razie rzecz się ma ku końcowi i niedługo czekać przyjdzie na rozwiązanie.

Smutne wiadomości odbieramy z Grecji. Anarchia widocznie stała się chorobą chroniczną tego pięknego lecz nieszczęśliwego kraju. Podczas gdy rozboje szerzą się na całej przestrzeni królestwa, armia rozprężona i zdemoralizowana nie zna karności i posłuszeństwa, stronnictwa się mnożą, występując z zaciętością przeciw sobie, a na domiar nieszczęścia, zgromadzenie narodowe, któreby mogło być najważniejszą podporą młodego króla w uspokojeniu kraju, stawia mu przeszkody na każdym kroku. Prezes ministrów Bulgari, dumnym swem postępowaniem także niewiele się przykłada do zagojenia ran społeczeństwa greckiego. Dodajmy do tego kłopoty zewnętrzne, mianowicie zapowiadane przez Anglię zaburzenie fortyfikacji na wyspie Korfu, co także niemałe w ludności greckiej wywołuje wrzenie, a będziemy mieli jakie takie pojęcie o kłopotach i pracy jaka oczekuje młodego króla, zanim do znośnego stanu kraj swój przyprowadzi.

Z Bombaj donoszą pod d. 29 z m., że wszyscy górale z pokolenia Hill powstałi przeciw Anglikom.

Górale napadli na oddziały wojsk stojące w Lahorze, przyczem generał Chamberlain i kilku oficerów otrzymało rany. Straty w zabitych i ranionych wynoszą w ogólności do 160 ludzi. Napad odparto, a generał Chamberlain telegrafował, że bez posiłków da sobie z napastnikami radę.

Pomimo ogólnego zwątpienia w Europie aby kongres mógł przyjść do skutku, dzienniki francuskie nie przestają zajmować się tą ideą, utrzymując że kongres może i powinien stać się faktem rzeczywistym. W ostatnich dniach *Constitutionnel* wystąpił znowu z obszernym wstępnym artykułem, w którym dowodzi, powołując się na kwestyę holsteińską, że kongres jest koniecznym i że odmowa Anglii nie może mu stać na przeszkodzie. Jeżeli wierzyć można korespondentom paryżkim *Ind. Belge*, to artykuł *Constitut.* zdradza swe urzędowe pochodzenie. Dziennik belgijski twierdzi nadto, że p. Drouyn de Lhuys wysłał już do wszystkich mocarstw, które przyjęły kongres w zasadzie, okólnik a raczej zaproszenie na konferencyę ministrów, dla ułożenia programu kongresu. Od tych zaprosin wyłączone Anglię, która stanowczo odmówiła udziału na pierwsze zaproszenie cesarza. Obrady nad adresem senatu zakończono. Przy powtórnych wyborach, rząd doznał porażki: Pelatan, kandydat opozycji, wybrany został większością kilku tysięcy głosów (15,289) podczas gdy Picard, popierany przez administracyę, otrzymał tylko 9,503 głosów. Szumnie zapowiadane reformy prasowe spełzły na niczem. — Z Meksyku żadnych niema nowin.

Z powodu rozwijającej się kwestyi holsteińskiej, gabinet berliński zażądał od izby poselskiej uchwalenia kredytu do wysokości 12 milionów talarów. Dowiadujemy się że większość izby okazała się przeciwną temu żądaniu i pragnie wyluszczyć powody odmowy w osobnym do króla adresie. Projekt adresu kommisji pożyczkowej wydrukowany już został i rozdany w dniu 15 b. m. członkom izby poselskiej. W adresie tym izba uprasza króla, aby wycofał się z traktatu londyńskiego, uznał księcia Fryderyka jako prawego dziedzica Szlezewgu i Holstynu, oraz przyłożył się aby Związek niemiecki czynną dawał pomoc księciu Augustenburg przy wyswobodzeniu jego dziedzictwa. Rozprawy nad tym adresem odłożono do piątku. — Kursujące w Berlinie pogłoski o ministerjalnem w Wiedniu przesileniu nie sprawdziły się dotąd. P. Smerling pozostaje w gabinecie.

Ostatnie depesze: Berlin 17 grudnia. Feldmarszałek Wrangel otrzymał główne dowództwo nad wszystkimi związkowymi wojskami. Książę Fryderyk Karol pruski dowodzi wyłącznie korpusem pruskim. Mówią że missya lorda Wodehouse spelzła bezskutecznie.

Altona 16 grudnia. Alt. Mercur zawiadamia, że w d. 20 i 21 grudnia 6000 Sasów i pułk buzarów hanowerskich wkroczą do księstw. Współcześnie 5000 Prusaków wejdzie do Lubeki, 5000 Austriaków do Hamburga, a 6000 Hanowerczyków zajmie lewy brzeg Elby, jako pierwsza rezerwa. Drugą rezerwę tworzy korpus 20,000 Austriaków i Prusaków.

Frankfurt 14 grudnia. Europe podaje treść okólnika p. Drouyn de Lhuys. Minister spraw zagranicznych, powiada Europe, nie nakreślił programukongresu, bo redakcyja podobnego programu nie może być dziełem jednego lub dwóch rządów. Francya gotowa jest porozumieć się z rządami, które poczytują za rzecz użyteczną roztrząsnąć spokojnie kwestye bieżące. Gabinet francuski sądzi, że bezskutecznem by było przyjąć dyskusyę o sprawach ogólnych Europy drogą korespondencji i telegrafu. Okólnik oświadcza w ogólności, że rząd cesarza Napoleona uchyliłby sobie samemu, jak również obowiązkom względem swoich sprzymierzeńców, gdyby nie korzystał z usposobień objawionych z taką serdecznością.

Londyn 17 grudnia. Piszą z Nowego Yorku: Prezydent Lincoln zachorował na ospę. Meade opuścił obóz i cofnął się ku północy. Na miejsce Meada rząd przeznaczył Sedgwick'a. Napad na Knoxville został odparty.

Aleksandrya 15 grudnia. Wicekról szczęśliwie uniknął wczoraj wypadku przy rozbieganiu się koni powozowych. Ostatnie wiadomości z Indji potwierdzają, że generał Chamberlain raniony został. Trzydziestu oficerów angielskich zabito lub raniono.

Paryż 15 grudnia. W Dijon opozycya wyborcza przeprowadziła swego kandydata, większością 3000 głosów.